– Dziadunio się spalił – powiedział mężczyzna, który stał obok. – Mamo, odpoczniemy – zwrócił się do kobiety siedzącej na wozie i pomógł jej zejść. – Kiedy zaczęło się to piekło – mówił dalej – załadowaliśmy w pośpiechu na wóz, co było pod ręką. Wsiadła też żona z dziećmi i matula, a dziadzio nie chciał – mężczyzna nie mógł mówić, gardło ściskał mu wieki żal, a do oczu napływały łzy. – Nie chciał wsiąść, prosiliśmy, błagaliśmy. Powiedział, że za stary i że nie zostawi domu, który własnymi rękami stawiał. Odjechaliśmy tylko kawałek. Wokół było coraz więcej Niemców. Przyjeżdżali ciężarowymi samochodami. Nagle zaczął się palić sąsiedni dom, a od niego w jednej chwili zajął się słomiany dach na naszym. Buchnęło, jak podpalona wiecha. Podbiegłem, ale drzwi już się paliły. Taki był żar, że nie mogłem podejść. Po chwili drewniany strop zawalił się do środka, a dziadzio… – mężczyzna odwrócił się i odszedł, kryjąc twarz w rękach.

Następnego dnia, widząc wciąż narastający exodus, wielu zelowian wpadło w panikę. Wyjeżdżali. Byle dalej od osady, w której obawiali się bombardowania. Wielu też szło piechotą – po prostu przed siebie.

Państwo Figurowie mieszkali razem z trojgiem dzieci przy końcu ulicy Kościuszki. Pan Adam Figura prowadził gospodarstwo rolne, które nie przynosiło dużych profitów, ale narzekać też nie było można. Jego żona Marianna była dziewiarką, pracowała od wielu lat w fabryce Żyda, Dawida Kopla. Byli szczęśliwą, zwykłą rodziną, która tak jak wszyscy dookoła miała swoje problemy i zmartwienia, zwłaszcza od kiedy zaczęła się wojna.

– Nie ma na co czekać! Zaraz tu będą i nas spalą! Idziemy! Tobołki już od piątku gotowe – powiedział Adam Figura.
– I dokąd pójdziemy? – spytała męża pani Marianna.

– Albo ja wiem. Wszyscy na Brzeziny ciągną, a może dalej, na Warszawę. Pożoga i śmierć dwadzieścia kilometrów od nas, nie ma rady. Meble zostawiamy. Zakopiemy w ogrodzie i przykryjemy naciętymi krzakami. Koło gminy rozdają te maski, co to od gazu mają chronić, to je po drodze weźmiemy.

Ruszyli ulicą Kościuszki w kierunku Rynku, tam dołączyli do szeregu tych, którzy jechali przez Zelówek do szosy łączącej Łask z Piotrkowem.

Adam Wejman stał przed swoim domem i ze smutkiem przyglądał się wyjeżdżającym. Coraz częściej nachodziła go myśl, czy dobrze robi, zostając. Tu chodzi nie tylko o niego, ale przede wszystkim o jego rodzinę. Niemcy bombardują i palą co większe skupiska ludzkie. A co, jak teraz przyjdzie kolej na Zelów? Obojętnie, w którą by jechali stronę, to po drodze są lasy. Można się tam ukryć. W tej chwili dojrzał znajome osoby.
– Figura! – krzyknął Wejman rozpoznawszy kolegę.
Wołany mężczyzna odwrócił się i podszedł do niego.
– Wy nie uciekacie? – spytał.
– A wy, dokąd idziecie?
– Uciekamy stąd. Byle dalej. Tu lada dzień mogą być Niemcy. Zobacz, co się porobiło.
Wejman tylko głową kiwnął, odszedł szybko i wszedł do mieszkania.
– Wyjeżdżamy – oznajmił rodzinie. – Pakujcie na wóz tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Zdziechowscy jadą z nami.

Rodzina Figurów poszła dalej. Zbliżali się do Zabłot, ale z powodu tłumu uchodźców szli teraz tak wolno, że dopiero po południu zobaczyli pełną uciekinierów szosę Łaskowską. Ludzi, koni i wozów było tak dużo, że zajmowali całą drogę i jej pobocza. Jadący wozami zsiadali z nich i pieszo próbowali dostać się do przodu, aby rozeznać się w sytuacji. Obok Figurów przeszedł żołnierz niosący karabin maszynowy.

– No, jak Niemce zobaczą, że do nich strzelają z tego kulomiotu, to dopiero tu jatkę zrobią – powiedział Figura. – Przecież oni nas tu wszystkich wystrzelają! Mieliśmy być bezpieczniejsi, a tu.... Wracamy do domu – postanowił.

W tej chwili usłyszeli nadlatujące samoloty. Leciały nisko nad szosą, strzelając do znajdujących się na niej ludzi. Wokół zapanował chaos. Wozy wjeżdżały jeden na drugi. Konie stawały dęba. Ludzie krzyczeli. Biegli w kierunku lasu. Chowali się do rowów. Nie wszyscy jednak zdołali uciec. Starsza kobieta, którą widzieli wcześniej z daleka, zginęła pod kołami rozpędzonego wozu. Wysokiego, przystojnego mężczyznę, którego stratował koń, rodzina próbowała odciągnąć na pobocze. Dwoje młodych ludzi leżało rannych na trawie, obok drogi. Patrzyli na siebie smutno, dotykając delikatnie swoich twarzy. Ich pokrwawione ciała i poszarpane ubrania wskazywały na poważne obrażenia. Tuż obok klęczał mężczyzna w garniturze. Trzymając na rękach martwe ciało małego chłopca, kiwał się w przód i w tył, jakby chciał, aby ten zasnął. Po chwili samoloty zrobiły nawrót i ponownie zaatakowały. Ostrzał był celny. Kule przeszywały ciała. Przerażeni ludzie biegali w popłochu i kryli się, gdzie tylko mogli.

– Szybko! W bruzdy! W kartoflisko! Nie wychylajcie się! – krzyczał Figura do rodziny.

Leżeli twarzą do ziemi i modlili się. Samoloty na chwilę odleciały. Mężczyzna znów dał sygnał:

– Teraz! Biegniemy!

– Tata! – krzyknęła przerażona córka Marysia.

Ojciec złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Do rowu! – krzyknął.

Czołgając się, dotarli do pierwszych zabudowań. Nieprzyjaciel odleciał, ale pozostawił po sobie śmierć i zniszczenia. Na szosie i wokół niej leżały powywracane wozy, martwe konie, rozrzucone w nieładzie ubrania i pootwierane walizy. Między tym bałaganem martwe ciała tych, którzy nie zdołali się ukryć. Przy kobiecie

leżącej w kałuży krwi płakało niemowlę. Patrzyła na nie otwartymi, martwymi oczami, nie mogąc pocieszyć, przytulić do piersi i nakarmić.

Kiedy Figurowie wrócili do domu, było już ciemno. W Zelowie panował spokój. Tylko nad horyzontem widoczna była łuna palącego się Szczercowa.

Piątego września ranek był mglisty. Mgła wyglądała jak dym. Snuła się między domostwami i pustymi ulicami. Dalej, poza zabudowaniami była tak gęsta, że na krok nic nie można było zobaczyć. Wtem z mlecznych oparów dało się usłyszeć szmer jakiś. Pojedyncze ludzkie głosy i rżenie koni zbliżały się ze wszystkich stron. Z tego z wolna narastającego zgiełku zaczęły wyłaniać się zarysy ludzkich postaci, koni i ciągniętego przez nie na wozach dobytku. Pomiędzy wozami rozróżnić można było konnych jeźdźców w polskich mundurach, w hełmach i z karabinami na plecach. Wojsko polskie, żołnierze.

Z początku jechali pojedynczo i po kilku. Wkrótce pojawiły się wozy wyładowane rannymi, a przy nich piechota. Szła w bezładzie pomiędzy taborami mieszając się z ludnością cywilną. Mieszkańcy osady wyszli z domów. Niektórzy patrzyli bez słowa na przejeżdżających i przechodzących ludzi, ale większość niosła im herbatę, kawę zbożową i suchary. Widząc tylu rannych, zaczęto podawać czyste prześcieradła i szmaty. Do dziewczynki trzymającej w rękach chleb podjechał żołnierz na koniu. Miał rozpruty rękaw munduru i brudne od zaschniętego błota buty. Nachylił się i wyciągnął przed siebie sztabkę szarego mydła.

– Zamienimy się? – spytał cichym głosem.

Dziewczyna stała jak zaczarowana. Patrzyła w ciemne, smutne oczy kawalerzysty.

– Nie bój się, mama nie będzie krzyczeć.

Wyciągnęła ręce i podała jeszcze ciepły bochenek głodnemu człowiekowi.

– Bóg ci zapłać, dziecko – podał mydło, ściągnął cugle i powoli odjechał.

Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął we mgle.

Następnego dnia wcześnie rano na ulicy Śmigłego-Rydza pojawiły się wozy jadące od strony Bełchatowa. Wracało wielu zelowian, którzy szukali, lecz nie znaleźli bezpiecznego miejsca dla swych rodzin.

– Do Zelowa, jak do Mekki jadą – powiedział Wejman do rodziny. – Już piąty dzień trwa ta wędrówka ludów.

Maria kiwnęła głową, przyznając mężowi słuszność i dodała:

– Jedni tylko przejeżdżają, inni zostają. Chwała Bogu, że my szczęśliwie wróciliśmy.

Pan Adam przeżegnał się.

– W imię Ojca i Syna. Już jak mamy ginąć, to we własnym domu.

Naprzeciw domu Wejmanów stała grupa ludzi, którzy przygotowali w tym miejscu punkt sanitarny i żywieniowy dla wojska i cywilów.

– Tato! Tato! Patrz, Janeczka! Wejmanowie wrócili – krzyknęła do ojca Lucynka Ulańska, machając ręką do koleżanki i jej braci – Zygmunta i Szczepana.

Ulański nalał herbaty do dzbanka.

– Idź, zanieś im – powiedział do córki.

W tej samej chwili podjechał do niego żołnierz.

– Witaj, Władek – powiedział.

Ulański spojrzał z niedowierzaniem na mężczyznę.

– Janek? Ile to już lat się nie widzieliśmy?

– A no sporo, sporo. Ostatnio wtedy, jak z Hallerem o Polskę wojowaliśmy – mężczyzna uśmiechnął się serdecznie.

Władysław przytrzymał konia za uzdę.

– Zsiadaj, odpocznij – podał przyjacielowi herbatę i kromkę chleba z masłem.

Mężczyzna podziękował i zaczął szybko jeść.

– Niewesoło, co? – powiedział do gospodarza.

Ulański odczekał, aż przyjaciel posili się i spytał:

– Skąd jedziecie? Dokąd? Powiedz choć ty coś, bo tu nikt nic nie wie.

– To tak, jak my – żołnierz uśmiechnął się smutno. – Byliśmy w 30 Poleskiej Dywizji Piechoty pod dowództwem generała Leopolda Cehaka. My głównie w rozpoznaniu. Zresztą tu wkoło nasze Dywizje, choćby 2 Dywizja Piechoty Legionów generała Dindorf-Ankowicza… czy 3 Pułk Piechoty Legionów Józefa Berka, który tu stacjonował, Zelów – Buczek – Czestków. Niedaleko stąd była linia obrony, Faustynów, Lubiec, Szczerców i dalej na linii Widawki… I pociąg pancerny był. Kilka razy starliśmy się z Niemcami, ale oni mają więcej ciężkiego sprzętu. Znacznie więcej… Transportery, samoloty, motory. Próbowali zrobić „kocioł" i w nocy musieliśmy się wycofać. Zobacz ilu naszych ciągnie i to nie tylko przez Zelów. Teraz idziemy na Dłutów i Brzeziny. Tam poczekamy na nowe rozkazy i dołączymy do naszej armii – zamilkł, a po chwili dodał: – Próbowaliśmy Władek, nie daliśmy rady, ale to jeszcze nie koniec. Przegrupujemy się i damy popalić tym… – żołnierz zacisnął pięść, wygrażając nią w powietrzu, po czym kontynuował swoją opowieść. – Dwa dni temu pod Walewicami widziałem, jak zestrzelili nasz samolot. Akurat byliśmy na zwiadzie. Przycupnęliśmy przy krzakach tarniny, a Niemcy co jakiś czas strzelali z haubic, penetrując okolicę, czy aby większych grup wojska nie da się wytropić. Naszych w tej okolicy akurat nie było, ale nagle usłyszeliśmy nadlatujące samoloty. Na jednym z nich polskie znaki. To były myśliwce. Pojawiły się z wielkim hałasem niewiadomo skąd. Nasz już trochę dymił. Z silnika mu ogień szedł, a dwa niemieckie go goniły, co nasz zanurkował, to one za nim i strzelały do niego, całe serie szły. On w górę, one za nim, i tak ganiały naszego nad polami, jak psy zająca. W końcu nasz wzleciał dość wysoko i jeden lotnik na spadochronie skoczył. Później samolot zaczął się już porządnie

palić i spadać, takim ślizgiem. Wyskoczył drugi lotnik, do niego Niemiec strzelał z samolotu. Chyba go trafił, bo spadochron mu się nie otworzył i zleciał w dół, jak bomba. Spadł na drzewa. Samolot uderzył w ziemię. Zarył się w pole niedaleko nas. Cały czas się palił, a szczątki iskrzyły się, jak zimne ognie. Wielki dym szedł, ale widać było, że trzeci lotnik starał się wydostać. Tamten, co wyskoczył pierwszy, wylądował w tym czasie i coś do niego krzyczał, pewnie żeby uciekał. Nie zdążył do niego dobiec, bo jak grzmotnęło, to rozerwało samolot na tyle kawałków, że później znaleźliśmy je ze sto metrów od tego miejsca. Ciekawe tylko, że jedna bomba, co ją przewoził, nie wybuchła. Leżała obok resztek samolotu. W kształcie gruszki była. Tak z metr miała. Leżała akurat przy granicy, to ją podkopaliśmy, żeby delikatnie do rowu się ześlizgnęła i zasypaliśmy, żeby nie przeszkadzała, jak kto będzie pole obrabiał. Tamtejsi ludzie wiedzą gdzie, to będą uważać. A przyjdzie czas, to wezwą saperów i zrobią z nią, co trzeba – zamyślił się i rozejrzał dookoła.

Dopiero teraz zauważył, że wokół niego zebrało się wielu dorosłych i dzieci, którzy z zapartym tchem słuchali jego opowieści.

– No, cóż. Czas na mnie – wstał i zaczął przygotowywać się do dalszej drogi.

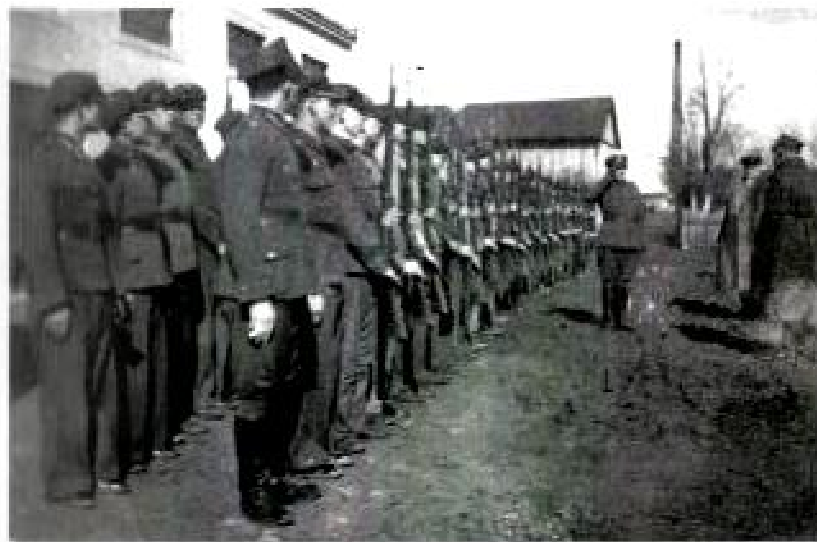
W końcu pożegnał się i odjechał.



„Żołnierze września" 1939



Żołnierze polscy.



Wojsko polskie przed wymarszem z Zelowa.

Po kilku godzinach na zelowskich ulicach zapanował względny spokój. Już tylko niedobitki, goniący tych, którzy przeszli wcześniej, zbierali się i wyjeżdżali z podwórek i placów. Około południa niemal opustoszało. Ludzie rozeszli się do domów, aby odpocząć.

Dawid odwiedził Franka tuż przed obiadem.
– Przepraszam – powiedział, wchodząc. – Dawno nie byłem, ale widzisz, co się dzieje. Cały czas od rana do wieczora biegam. Mamy wiele punktów na ulicach przygotowanych z wodą i środkami opatrunkowymi. Wydajemy maski przeciwgazowe i jedzenie dla uchodźców. Teraz przez chwilę spokój, ale za godzinę, czy dwie…
Franek siedział na łóżku oparty o ścianę.
– Chwile usiadłem – odpowiedział zdenerwowany – ale prawie cały czas przy oknie stoje, aż mnie ręce bolą od tych kul… i radia też słucham – dodał, prawie krzycząc.
Dawid spojrzał na kolegę i udając pozorny spokój, powiedział:
– To pewnie wiesz, że wczoraj zaczęła się w Warszawie ewakuacja centralnych instytucji państwowych?
Nastała długa chwila ciszy. Chłopcy patrzyli na siebie, rozważając w myślach dalszy tok rozmowy. W końcu Franek poklepał się ręką po gipsie i powiedział:
– Nie moge sie już doczekać, jak mi to cholerstwo zdejmą – wolał nie komentować przekazanej przez przyjaciela wiadomości.
Dawid również zmienił temat rozmowy.
– Nie wiesz, co u Zenka i u twojego tate?
– Nie, nic nie wiem i o moim ojcu też nie. Nie wiemy nawet, gdzie jest.
– Muszę już wracać do pracy – podał rękę na pożegnanie, a stojąc już w progu, dodał: – Od żołnierzy, którzy przez Zelów przechodzą wiemy, że nasze wojsko idzie na Warszawę i tam mają się bronić.

Zbiegł po schodach i już po chwili podążał w kierunku bramy wychodzącej w stronę Rynku.



Zelowski Rynek – 1939 r.

Na placu nie było wielu ludzi. Więcej na podwórkach, skąd dobiegały ludzkie głosy i ujadanie psów.
– Dawno nie było tak normalnie – przeszło mu przez myśl.
Nie trwało to długo. Ostatnią sielską chwilę przerwał warkot jadącego motocykla. Motor wyjechał z ulicy Kościuszki – na nim dwóch uzbrojonych, niemieckich żołnierzy w mundurach i w hełmach. Do bocznego wózka, po prawej stronie motoru, przymocowany był karabin maszynowy. Ten nagły widok zelektryzował Dawida. Przylgnął do ściany budynku.
– Niemcy! – wyszeptał.
Żołnierze dwukrotnie objechali Rynek dookoła i zatrzymali się obok pomnika. Niemiec siedzący w koszu trzymał rękę na spuście RKM-u, bacznie obserwując wejścia do bram i okna kamienic. Po kilku minutach ruszyli ulicą Kilińskiego w kierunku Zelówka.

– Niemcy w Zelowie! – wiadomość rozeszła się po osadzie lotem błyskawicy.

Po godzinie na plac przy pomniku wjechały samochody ciężarowe i wozy pancerne, pełne uzbrojonych po zęby Niemców. Wjeżdżały niemal z każdej strony: od Maurycowa i od Szczercowa, od Ignacowa i Bocianichy. Zatrzymały się na głównych ulicach i placach. Przy szkole nr 1 założyli kuchnię polową, a w ogrodzie, przy domu Kosika na Kilińskiego 26 – kuchnię i sztab. Tuż za wojskiem wjechały niemieckie samochody osobowe z dowództwem Wehrmachtu[70] i osobami, które miały za zadanie podjęcie natychmiastowych działań w kierunku przejmowania i administrowania zdobytymi terenami. Jedna z ciężarówek podjechała tuż pod budynek gminy. Na dach szoferki wskoczył Niemiec z łomem w rękach. Uderzył mocno w godło państwa polskiego. Spadło z hukiem na ziemię przy aplauzie stojących obok żołnierzy.

Większość obywateli Zelowa wyszło na ulice lub przyglądało się najeźdźcom przez okna. Byli też tacy, którzy cieszyli się z wjazdu rodaków.

– Jezus Maria! Przecież to Dalke – powiedział pan Józef Pejga do żony, kiedy zobaczył idącego w ich kierunku sąsiada ubranego w niemiecki, żółtobrunatny mundur NSDAP-owca[71].

Niemiec podszedł do Pejgów stojących przed bramą wjazdową do ich domu i z miną niezwykle poważną powiedział:

– Przystąp do nas, Józek. Ta wojna długo nie potrwa. Na nas nie ma mocnych. Wystarczy, że przejdziecie na naszą stronę, a nic wam się nie stanie, a tak… To nie wiadomo.

---

[70] *Wehrmacht – całość sił zbrojnych III Rzeszy niemieckiej z wyłączeniem Waffen-SS.*

[71] *NSDAP – Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników.*

Pan Józef zmarszczył brwi i spojrzał na Dalkego.

– Grozisz mi? Nie po to mój syn o Polskę walczy, żebym ja teraz miał się wam wysługiwać. A, ty?… tyle lat tu żyjesz… zresztą – machnął ręką – każdy niech we własnym sumieniu to rozważy.

Wołał ostrzej nie traktować rozmówcy. Wewnętrzny głos podpowiadał mu: „Lepiej ostrożnie, myślałeś, że go znasz, a jednak…".

Dalke nie odpowiedział. Odwrócił się i odszedł.

Zelów został zdobyty bez jednego wystrzału, bez jakiejkolwiek formy agresywnego sprzeciwu. Niektórzy mieszkańcy osady cieszyli się z tego, inni wierzyli, że to nie koniec, że wojna się toczy i jeszcze wszystko jest możliwe. Walczą o to ich bliscy. Walczą o nich, o wypędzenie z kraju agresora, walczą o Polskę. Po dwugodzinnym postoju regularne wojsko Wehrmachtu pojechało dalej.

– Ale się śpieszą, jeden sygnał i w pięć minut gotowi. Trzeba przyznać, że karne wojsko – powiedział Ułański.

– Naszych gonią, Hitler syny jedne. Szkopy – odpowiedział Wejman.

– Ci pojechali, ale za nimi przyjdą inni – dodał stojący razem z sąsiadami Franciszek Pruszak. – Widziałem to już. Kawał świata się przeszło i przejechało.

– Tak, masz rację – dodał Władek – też to widziałem.

W kolejnych dniach pojawiali się nowi, niemieccy administratorzy gminy. Rozlokowali się w miejscach wskazanych przez niektórych, lojalnych wobec III Rzeszy, obywateli Zelowa. Nazwiska osób do przekwaterowania widniały na gotowych listach. Nieliczni, pozostali w Zelowie żołnierze Wehrmachtu, zajęli dom przy końcu ulicy Marszałka Śmigłego-Rydza 84, czyli przy dawnej Piotrkowskiej oraz przy ulicy Poznańskiej, tuż za ulicą Piłsudskiego.



Oddział niemieckich żołnierzy.

Następnego dnia przejęli urząd gminy i posterunek policji. Rządy rozpoczęli od pozbycia się niektórych urzędników.

Dawid wrócił do domu przygnębiony. Usiadł w zakładzie ojca. Nie odzywał się. Salomon patrzył na niego i czekał, aż syn sam powie, co się stało.

– Wyrzucili z pracy kilku Polaków i wszystkich Żydów – powiedział w końcu, nie patrząc na ojca. – Pozostawili głównie tych pochodzenia niemieckiego i czeskiego – dodał.

– Aby tylko gorzej nie było – ojciec poklepał go po ramieniu. – Zobacz. Mamy co jeść i gdzie spać. Miriam już ponad pół roku, jak nie choruje. Bogu dziękować za to, co teraz mamy. Nu, nie martw się. Znajdziesz ty jakaś robota.

Kolejnym krokiem Niemców było odtworzenie dokumentacji dotyczącej mieszkańców gminy. Stare dokumenty zostały ukryte lub zniszczone przez polskie władze, rozpoczęto więc sporządzanie nowej listy adresowej Żydów i Polaków zamieszkujących ten

teren. Ogłoszono, że każdy Polak i każdy Żyd ma obowiązek stawić się na wezwanie władz niemieckich w celu podjęcia prac porządkowych oraz wykonywania innych poleceń.

Okupanci sprawnie przejmowali urzędy i ważne, z punktu widzenia zarządzania zasobami ludzkimi i materialnymi, instytucje państwowe. W Zelowie dowodził tą akcją Rosenberg. Na Kościuszki, pod numerem 16, utworzono Schutzpolizei (Schupo), czyli policję prewencyjną. Dowódcą został Willy Rapsch, który zamieszkał w drewnianej plebanii, przy kościele rzymskokatolickim.

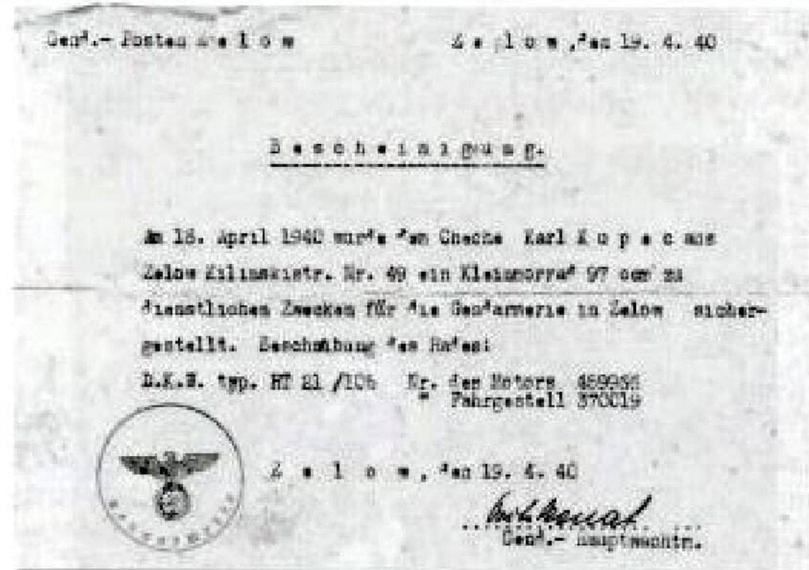


Członkowie NSDAP w Zelowie

Dom Leona Kosika, przy Kilińskiego 26 zajął Ferdynad Kratochwill – Reichsdeutsch, czyli Niemiec pochodzący z terenów Rzeszy. Kierował on w Zelowie oddziałem Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP). Tę nazistow-

ską organizację ulokowano w Rynku pod nr 12. W jego drugim domu, przy ul. Sienkiewicza 1, Niemcy utworzyli Gendarmerie – tzw. wiejską, z dowódcą Oskarem Kube, wachmistrzem. W budynku pozostawiono aptekę, którą nadal zarządzał Józef Radziszewski. Nad apteką zamieszkał niemiecki lekarz, Nemelowicz.

prawidłowe nazwisko: Dr Med. Otto Nimylowitsch - Praktiziert Arzt



Gend.- Posten Zelow — Zelow, den 19. 4. 40

Bescheinigung.

Am 18. April 1940 wurde dem Czeche Karl Kopac aus Zelow Ziliinskistr. Nr. 40 ein Kleinmotorrad 97 ccm zu dienstlichen Zwecken für die Gendarmerie in Zelow sichergestellt. Beschreibung des Rades:

D.K.W. typ. RT 21 /106 Nr. des Motors 489986
" Fahrgestell 370019

Zelow, den 19. 4. 40

Gend.- Hauptwachtm.

Zezwolenie zelowskiej żandarmerii na posiadanie małego motocykla.

Błąd!!! To jest zaświadczenie o rekwizycji (zajęciu motocykla) dla potrzeb żandarmerii !

Od tej chwili niemal każdego dnia nowi administratorzy wywieszali dwujęzyczne ogłoszenia informujące o zdobyczach frontowych, niezwyciężonej niemieckiej armii, o nowej władzy, o zakazach, nakazach i o karach, jakie czekają za niestosowanie się do nowych praw.

Jedno z pierwszych zarządzeń dotyczyło szacunku, który winni okazywać Polacy i Żydzi, wobec każdego Niemca. Przedstawiciele tych nacji mieli obowiązek pozdrawiać umundurowanych

Niemców, zdejmując nakrycie głowy, ustępować im miejsca na ulicach, chodnikach i w innych miejscach publicznych.

Wkrótce okupanci wprowadzili godzinę policyjną – od 22.00 do 4.00 – dla Polaków. Żydzi mieli zakaz wychodzenia z domów od 20.00 do 4.00. Należało też zaciemniać okna. Niestosowanie się do zarządzeń podlegało karze mandatu. W celu znalezienia taniej siły roboczej utworzyli przy Rynku, pod nr 13, Biuro Pośrednictwa Pracy (Arbeitsamt). Jego szef, Josef Fuchs (Jupp Fuchs) wprowadził się do domu Emila Dedecjusa, przy ulicy Dzielnej. Lokalni Niemcy wskazywali nazwiska mężczyzn i kobiet „chętnych" do pracy lub tych, którzy według nich głosili wrogie informacje przeciw III Rzeszy i ich ukochanemu Führerowi. Wysiedlali głównie Polaków, ale przedstawiciele innych nacji także nie mogli czuć się bezpiecznie.

Kiedy rozległo się walenie do drzwi, rodzina Pejgów siedziała właśnie przy kolacji.

– Aufmachen! Otwierać!

Do mieszkania weszło dwóch uzbrojonych Niemców, mężczyzna w cywilnym ubraniu i żandarm Hanke. Żołnierze skierowali broń w stronę gospodarzy.

– Gegen die Wand[72]! Schnell[73]!

Mężczyzna w cywilu podał dokument panu Józefowi i powiedział coś po niemiecku. Hanke tłumaczył.

– Dom rekwirują. Teraz tu będzie Schutzpolizei, czyli policja prewencyjna i areszt – uśmiechnął się szyderczo i dodał ostrzej:

– Do wieczora ma was tu nie być!

Kiedy wyszli, pani Pejga opadła na kanapę. Spojrzała przez łzy na męża i powiedziała:

[72] *Gegen die Wand* – z niem. pod ścianę.
[73] *Schnell* – z niem. szybko.

– To po to nowy dom pobudowaliśmy, żeby teraz we własnych komórkach mieszkać? – zaczęła szlochać i trząść się, jak listek na wietrze.

Pejga stał, jak zamurowany. Jednak po chwili usiadł, objął żonę, przytulił i powiedział:

– Przeniesiemy się do komórek, obok piekarni – a patrząc gdzieś daleko przed siebie, dodał: – Piekarni nam nie zamkną! Jeść przecież muszą.



Ulica Kościuszki. Dom Pejgów – siedziba Schutzpolizei. Przed domem widoczny Niemiec w mundurze.

Kolejny wróg

Wieści rozchodziły się szybko. Wielu ludzi nie dowierzało, że są prawdziwe. Dopiero z czasem przekonali się, że ich dotychczasowe życie całkowicie uległo zmianie.

Dawid biegł przez podwórko w kierunku mieszkania Szkudlarków, nie bacząc na ulewny deszcz. Wbiegł na piętro i zapukał do drzwi.

– Dawid – pani Teresa załamała ręce – trzeba było coś na siebie włożyć. Wyglądasz jak zmokła kura.

– Dzień dobry pani, mogę do Franka?

– Wejdź proszę. Dam ci coś do wytarcia głowy.

– Mam ważne wiadomości, ale niezbyt dobre.

– Jezus Maria! Coś z moim mężem?

– Nie, nie – odpowiedział Dawid. – Ale w gazetach piszą, że Ruskie na nas napadli.

– No to już koniec – powiedział Franek, który w tym czasie przykuśtykał do kuchni i stojąc w progu przysłuchiwał się rozmowie.

Wszyscy usiedli przy stole. Dzieci obstąpiły mamę dookoła i czekały, aż Dawid wyciągnie schowaną pod ubraniem, nieco przemoczoną gazetę. Położył ją na stole i głośno przeczytał tytuł:

– 18 września 1939. Wojska sowieckie na terytorium polskim…

Przerwał na chwilę i spojrzał na obecnych. Wszyscy stali jak skamieniali. Nie odzywali się, więc po chwili zaczął czytać na głos powody, które podał ZSRR, jako przyczynę ataku na Polskę.

– Warszawa, jako stolica już nie istnieje, a Rząd Polski uległ rozkładowi i nie okazuje przejawów życia, co znaczy, że Państwo Polskie i jego rząd przestały faktycznie istnieć. Dlatego też straciły ważność traktaty zawarte pomiędzy Polską a ZSRR…

Dalej piszą – dodał – że Ruskie uważają, że taki stan, to zagrożenie dla ich kraju, a mając na uwadze dobro własnych obywateli

zamieszkujących tamte tereny, muszą przywrócić w Polsce porządek i spokój.

– To bandyty! – powiedział Franek – chcą się odegrać za łupnia z 20. roku. Najpierw Niemcy z kilku stron, później Słowacy, a teraz oni. Znowu rozbiory chcą zrobić!

Zapadła głęboka cisza. Po chwili najmłodsza córka Krysia przytuliła się do matki i spytała:

– Mamo, a co to są rozbiory?

Matka nie odpowiedziała. Zwróciła się do syna:

– Włącz radio, może coś będą mówić. Franek, podskakując na kulach przyniósł z pokoju radio i założył słuchawki.

– Nadają komunikat prezydenta Mościckiego.

Powtarzał głośno słowa usłyszane przez słuchawki.

„Nie po raz pierwszy stanęliśmy w obliczu nawałnicy zalewającej nasz kraj ze wschodu i zachodu. Polska... walczy... przeciw bezprawiu... przeciwko bezdusznemu barbarzyństwu. Z walki tej... musi wyjść zwycięsko".

– Wracam do domu – powiedział Dawid. – Tate pewnie jeszcze nic nie wie.

Pożegnał się i szybko wyszedł.

Wchodząc do mieszkania, usłyszał płacz Miriam.

– Co się stało? – wziął siostrę na ręce. – Czemu płaczesz?

– Nic, nic – powiedziała Chana – tylko guza sobie nabiła. Bawili się z Abramkiem i zająca złapała.

– Jak by tak nie ciekali, toby się nic nie stało – dodała Sara, stawiając obiad na stół. – A ty jak zwykle gdzieś ganiasz. Że ty nie możesz usiedzieć na miejscu! – dodała zdenerwowana. – Ty już nie jesteś gońcem, ale chyba twoje nogi o tym jeszcze nie wiedzą.

Dawid uśmiechnął się smutno.

– Tate – zwrócił się do ojca siedzącego przy stole – Ruskie na Polskę napadły.

Ojciec tylko skinął głową. Sara odpowiedziała za niego.

– Już wiemy. Dopiero co wyszli panowie z gminy. Daj tate spokój. Dosyć, że on nie może zakładu otworzyć, to jeszcze wszyscy Żydzi mają czekać w każdej chwili na wezwanie do pracy. Pan Satt mówił też, że nie możemy handlować i po drogach jeździć, i pieniędzy z banku też nie możemy wziąć, ile my chcemy. Aaa... i nasze fabryki też mają zamknąć. Daj tate spokój.

***

30 września podano przez radio, że Warszawa skapitulowała.

To smutne zdarzenie spowodowało chwilowe przygnębienie i rezygnację.

„Hallo, hallo, czy nas słyszycie? To nasz ostatni komunikat. Dziś oddziały niemieckie wkroczyły do Warszawy. Braterskie pozdrowienia przesyłamy żołnierzom walczącym na Helu i wszystkim walczącym, gdziekolwiek się jeszcze znajdują. Jeszcze Polska nie zginęła. Niech żyje Polska!".

Jak zawsze na koniec programu w eter popłynął hymn państwowy.

***

Dawid siedział na swoim stryszku strasznie przygnębiony. Patrzył przez okno na świat, który do niedawna cieszył jego serce każdym wschodem słońca, każdym powiewem wiatru, czy delikatnym majowym deszczem. Dawał poczucie bezpieczeństwa i nadziei na coraz to lepszą przyszłość. Teraz stał się pochmurny, smutny i nieznany. Pełen obaw i lęków. Ocknął się w końcu, wziął pióro i napisał w swoim pamiętniku dużymi, drukowanymi literami:

1 października 1939 – niedziela

– I CO TERAZ? Do niedawna każdy ranek był początkiem radosnego dnia i początkiem życia dla ludzi i zwierząt. A TERAZ?... Codziennie patrzyłem w przyszłość z optymizmem, planując każdy następny dzień. A co mam teraz myśleć? Jakie snuć plany? Co mnie w życiu czeka?... Same pytania. Żadnej odpowiedzi... Nic nie przychodzi mi do głowy. Boję się, że nie mam już żadnego wpływu na moje życie. Czuję wewnętrzny niepokój, obawę że stanie się coś niedobrego. W końcu to wojna. Żadna wojna nie przynosi nic dobrego. Ileż to już książek czytałem na ten temat. Ileż opowieści słyszałem od ludzi, którzy ją przeżyli. I nie tylko ja się boję. Wszyscy wokół są tacy przygaszeni. Tacy nieswoi, smutni. Jednak nie powinienem okazywać tego po sobie. Muszę wspierać rodzinę. Pocieszać ich. Jak będziemy trzymać się razem, to wszystko będzie dobrze. Tak. Taka nutka optymizmu jest potrzebna nie tylko mnie, ale i mojemu Tate, i Sarci, i Miriam, choć ona to jeszcze nie rozumie, co się dzieje.

Powrót Zenka

Dni płynęły, a wiadomości, jakie dochodziły do Zelowa nie napawały optymizmem. W końcu wszyscy już wiedzieli. Polska pod naciskiem przeważających sił wrogów, skapitulowała. Najeźdźcy zajęli polskie miasta i wsie. Dzielili łupy. Obrońcy ojczyzny wracali powoli do domów. Niestety nie wszyscy. Wielu dzielnych żołnierzy zostało na polach bitew na zawsze. Wielu Niemcy i Rosjanie uwięzili i wywieźli w nieznanych kierunkach. Ich los był niepewny i nieznany.

Milena wbiegła do mieszkania Szkudlarków bez pukania. Uświadomiła to sobie dopiero, kiedy wpadła w kuchni na gospodynię. Ucałowała ją szybko w policzek. Była szczęśliwa i roześmiana.

– Zenek wrócił! – krzyknęła i podbiegła do Kasi.

Szepnęła jej coś do ucha, potem podeszła do Franka i nie bacząc na obecność wszystkich domowników mocno i gorąco pocałowała chłopaka w usta.

Franek zamrugał oczami.

– Muszę mu powiedzieć, żeby częściej gdzieś wyjeżdżał?

Dziewczyna opuściła wzrok i zarumieniła się.

– No, to biegnę. Przyjdzie do was. Tak kazał powiedzieć – i już jej nie było.

Późnym popołudniem Zenek zapukał do drzwi państwa Szkudlarków.

– Dzięki Bogu! – powiedziała pani Teresa, kiedy otworzyła drzwi.

Objęła go jak syna i ucałowała w czoło.

Dziewczynki skakały wokół niego.

– Zenek wrócił, Zenek!

Chłopak witał się z dziećmi, ale cały czas zerkał na Kasię, która stała z boku, przypatrując się radosnym powitaniom.

– A ze mną się nie przywitasz? – powiedziała w końcu nieco zazdrosna.

Podszedł do dziewczyny. Objął ją w pasie, podniósł do góry i okręcił kilka razy dookoła.

– Obiecałem, że wrócę… i jestem!

– Modliłam się za ciebie – ucałowała go w oba policzki.

Franek stał obok wsparty na kuli.

– A przyjacielowi ręki nie podasz? – wyciągnął prawą rękę w kierunku Zenka i uściskali się serdecznie.

– A ty ciągle kuśtykasz?

– W tym tygodniu mi zdejmą. Siadaj. Opowiadaj.

– Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie wojnę – zaczął poważnie. – Kiedy wyjeżdżaliśmy z Zelowa wszystko miało być tak pięknie. Damy łupnia Niemcom i wracamy w chwale zwycię-

stwa, ale moje marzenia szybko zmieniła rzeczywistość... – zamyślił się. – Wojna jest straszna. Tyle wam powiem.

– Zmieniłeś się – wtrącił Franek.

– To ona mnie zmieniła. Jakbyś widział wokół siebie tyle śmierci, tylu znajomych i kolegów, którzy szli z tobą ramię w ramię, a po chwili padali na ziemię i już nie wstawali, też byś się zmienił. Kule świstają, pociski wybuchają. Obok przyjaciel, z którym dopiero co rozmawiałeś, leży z oderwaną ręką, w kałuży krwi. Nie myślisz. Albo z tego wyjdziesz, albo nie. Szczęście, tylko szczęście. Krótko mnie nie było, ale to wystarczyło. Nawet Zelów wygląda teraz inaczej.

Walczyliśmy w bitwach nad Bzurą. Był tam też pan Mędrzycki, a z Mietkiem Kapuścińskim byłem w tej samej drużynie.

– A, co u niego? – spytała pani Teresa. – Wrócił z tobą?

Zenek spojrzał na Szkudlarkową, potem powiódł błędnym wzrokiem po twarzach siedzących wokół niego ludzi.

– Mietek nie żyje. Poległ pod Mogilnem 11 września.

Zrobiło się zupełnie cicho. Pani Teresa otarła końcem rękawa napływające jej do oczu łzy.

– Od dziecka go znałam... – nie mogła mówić dalej.

– Przed przyjściem do was byłem u niego w domu. Podałem list, który miał przygotowany na taką ewentualność. Każdy z nas miał. Przywiozłem też jego hełm. Kula weszła od przodu i wyszła tyłem. Głowę mu na strzępy rozerwało... Boże! Jak jego mama płakała. Nigdy tego nie zapomnę.

Dziewczynki zaczęły płakać. Przytuliły się do matki. Frankowi także płynęły łzy po twarzy.

– Później przedzieraliśmy się do Warszawy, do Armii „Poznań" – kontynuował opowieść. – Udało nam się. Dopiero po kapitulacji Warszawy i zakończeniu działań wojennych dostaliśmy rozkaz, żeby wracać do domów. Każdy na własną rękę. Trochę na nogach szedłem, trochę jechałem furmanką z jakimiś ludźmi, a z Karsznic to zabrałem się do Zelowa z Kilańczykami z Chajczyn, oni tu często wozem do Gliksmana jeżdżą. No i je-

stem. Mnie się udało, ale bardzo wielu zginęło, a wiele tysięcy wzięto do niewoli.



Mieczysław Kapuściński.



Hełm bojowy Mietka.

– A o moim mężu nic nie wiesz? – spytała pani Teresa.

– Wiem tylko, że przedzierali się w kierunku Warszawy, ale tylko tyle. Proszę się nie martwić, wróci cały i zdrowy. Tylko przez tę wojnę to różnie ludzi po świecie porozrzucało.

Szkudlarkowa westchnęła głęboko. Podeszła do okna. Nie chciała, żeby dzieci widziały, że znowu płacze.

Zburzenie pomnika

Po słonecznym początku października kolejne dni były już wietrzne i dżdżyste, ale okupanci mieli swoje plany i realizowali

je z całą stanowczością także poprzez niszczenie wszelkich śladów polskości.

Dawida obudziły hałasy dobiegające zza okna zakładu. Przyłożył twarz do szyby i spojrzał przez niedomkniętą okiennicę. Przy pomniku stał niemiecki ciężarowy samochód, z którego zsiadali żołnierze. Nieco dalej ustawieni w dwuszeregu stali jego pobratymcy. Chłopak podszedł do kozetki, na której spał ojciec i lekko dotknął go w ramię.

– Tate – szepnął – coś się dzieje.

Salomon obudził się i podszedł do okna. Z zaciekawieniem i z przejęciem obserwowali, co będzie dalej. Kilku Żydów, poganianych przez jakiegoś niemieckiego żołnierza, kilkakrotnie owinęło cokół grubymi łańcuchami.

– Tate. Zniszczą pomnik.

Salomon przytaknął. Robotnicy kilofami i łopatami podkopali postument. Podłączyli łańcuchy z tyłu do ciężarówki, która powoli ruszyła z miejsca. Pierwszy spadł orzeł, następnie przewrócił się i rozbił w drobne kawałki cokół. Resztę rozbito ręcznie. Załadowali łańcuchy z ogrodzenia i gruz z pomnika na ciężarówkę i odjechali. Pozostali na miejscu Żydzi porządkowali miejsce po symbolu wolności i niepodległości Polski.

– Halt! – krzyknął oficer stojący najbliżej robotników. Nachylił się i wygrzebał z ziemi metalową tuleję. Otrzepał ją z piachu i położył z boku. Salomon spojrzał na syna.

– To pewnie „kamień węgielny", który położyli przed wzniesieniem pomnika w 1924 roku – powiedział.

Pierwsze represje

Już na początku okupacji rozpoczęły się pierwsze wysiedlenia. Inicjowali je miejscowi Niemcy, wskazując lokalnym władzom osoby, które mają zostać wysiedlone. Celem było przejęcie opuszczonych przez Polaków placówek gospodarczych, majątków ziemskich, czy zakładów rzemieślniczych. Donosiciele kierowali się głównie prywatną niechęcią do poszczególnych osób lub myśleli o własnym zysku.

Narożna kamienica w Rynku dzięki swojej dobrej lokalizacji i restauracji znajdującej się na parterze stanowiła dla Niemców doskonałe miejsce do zlokalizowania tam hotelu. Restaurację po dotychczasowej właścicielce przejął inwalida wojenny z drewnianą nogą, Niemiec, Schwartz. Z lokalu mogli korzystać tylko obywatele III Rzeszy.

Lokalne władze wzywały do opuszczenia mieszkania, domu, danej miejscowości, najczęściej w ciągu 24 godzin.

Szkudlarkowa zmywała naczynia po obiedzie, kiedy rozległo się głośne walenie w drzwi. Podskoczyła ze strachu.

„Kolejne złe wiadomości?" – przeszło jej przez myśl.

Odetchnęła, gdy otworzyła i ujrzała znajomego.

– A, co pan tak wali, panie Kubiak?

– Pismo mam od nowych władz, pani Tereniu – powiedział mężczyzna stojący za drzwiami. – Chyba niezbyt dobre nowiny – podał kobiecie kopertę.

– Pokwitować trzeba – podsunął listę.

Pani Teresa spojrzała na papier, na którym było jej imię i nazwisko, potem pytającym wzrokiem popatrzyła na posłańca. Pokwitowała i weszła do mieszkania. Była blada i drżały jej ręce.

– Daj mamo, ja otworzę – powiedziała Kasia. – Nakaz eksmisji – przeczytała głośno.

– Myślałam, że to coś o waszym ojcu – mimo złej wieści odetchnęła głęboko i usiadła.

– Nawet tak nie myśl, mamo. Tata wróci cały i zdrowy – powiedział Franek.

Dziewczynki objęły ją w pół.

– Tak, mamo – dodały – przecież nam to obiecał.

Matka przytuliła dzieci i uśmiechając się przez łzy powiedziała:

– No, to jednak pojedziemy do babci na wieś. Zrobimy sobie takie wakacje na wsi – próbowała dzielnie stawić czoło problemowi, nie okazując przed dziećmi swego zmartwienia. – Ale nie możemy cały czas siedzieć im na głowie. Wiecie jak u nich ciasno. Pobędziemy kilka dni, a w tym czasie przygotujemy sobie mieszkanie w Zelowie. Już wcześniej rozmawiałam z ciocią Wejmanową. W podwórku mają wolne mieszkanie na wynajem. Trzeba je tylko uprzątnąć i umalować. Przeczytaj, Kasiu. Ile mamy czasu?

Córka ponownie zajrzała do listu.

– Trzy dni, mamo.

– No to zaraz pójdziesz do wujka i powiesz, co się stało. Tylko szybko wracaj. Mamy mnóstwo roboty.

– Hura! – krzyknęły młodsze dziewczynki. – Będziemy mieszkały z Janeczką!

***

Po tygodniowym pobycie w Bujnach rodzina Szkudlarków przeprowadziła się do wynajętych u Wejmanów mieszkań. Zenek i brat pani Teresy – Bolesław, pomogli w remoncie.

– A tata nas tu znajdzie, jak wróci? – zapytały Krysia i Rózia.

– Znajdzie. Na pewno znajdzie – odpowiedziała mama.

– A kiedy on wróci, mamo?

– Już niedługo, jeszcze dzień, jeszcze dwa i na pewno wróci – pocałowała dzieci i czule przytuliła.

– Ale Zenek już dawno przyjechał i inni też.

– Wasz tata walczył pewnie gdzieś dalej, więc i do domu ma dłuższą drogę – wymyślała na poczekaniu dla uspokojenia córek, co chyba je przekonało, bo przestały pytać.

– Pomóżcie mi teraz układać w szafkach.

Dziewczynki ochoczo zabrały się do pracy.

– Franek! – krzyknęła do syna. – Stań przy wozie i przypilnuj, a wujo i Zenek poznoszą rzeczy. Pamiętaj. Jutro idziemy na zdjęcie gipsu.

Gabinet doktora Tadeusza Misjona, a właściwie felczera Misjona, mieścił się w budynku przy ulicy Sienkiewicza 13.
Franek nieźle się napocił zanim dotarł tam o kulach. Pacjentów nie było, więc od razu poproszono go do gabinetu.

– Witam, kawalerze – starszy mężczyzna wstał od biurka i podszedł do chłopaka.

– Pamiętam, jak spadłeś. Wydawało się, że nie wyjdziesz z tego, a jednak wszystko dobrze się skończyło.

STARSZY FELCZER
TADEUSZ MISJON
z 25-io letnią praktyką
osiedlił się w Zelowie
i zamieszkał przy ulicy Sienkiewicza Nr. 13
dom J. Swobody na wprost apteki
UDZIELA POMOCY I PORAD.
Wykonywa wszelkie zabiegi felczerskie
wchodzące w zakres małej chirurgji.
Pierwsza pomoc
w nagłych wypadkach.
Pierwsza pomoc w nocy.
Szczepienie ospy.
Przyjęcie chorych
od 7 do 11 rano i od 5 do 10 wiecz.
Dla niezamożnych ustępstwa

Ogłoszenie o świadczeniach zdrowotnych.

– Panie doktorze, bede chodził?

– Jasne, że tak. Trochę cierpliwości i rehabilitacji. Za dwa, trzy miesiące będziesz mógł chodzić po ziemi. Po rusztowaniach, dopiero za pół roku – uśmiechnął się szczerze.

W połowie października rozeszła się wiadomość, że szkoła powszechna nr 1 wznawia z początkiem listopada działalność. Jej kierownictwo objął zelowski Niemiec i przedwojenny nauczyciel tej szkoły, Edmund Freund. Nie była to już ta sama szkoła, co przed wakacjami. Nadano jej typowo niemiecki charakter. Pierwszą decyzją nowego kierownika było zdjęcie ze ściany i rozbicie popiersia marszałka Józefa Piłsudskiego, patrona szkoły. Kierownik wprowadził też gruntowną reorganizację zajęć. Lekcje rozpoczynały się i kończyły w języku niemieckim. Zrezygnowano z nauczania kilku przedmiotów, a przede wszystkim zabroniono wstępu nauczycielom i dzieciom pochodzenia semickiego.

– Najważniejsze żebyście nauczyły się języka niemieckiego – grzmiał do dzieci, podczas pierwszego apelu, kierownik Freund. – Macie mówić po niemiecku, czytać po niemiecku i pisać po niemiecku, bo to teraz wasz język ojczysty. Obowiązuje was, brudasy i niechluje, porządek, czystość, dyscyplina i uczciwość wobec nas, rasy postawionej wyżej w boskim porządku.

Po powrocie ze szkoły, Janka Wejmanów i Lucynka Ulańskich zgodnie stwierdziły:

– Mamo! My już nie pójdziemy do szkoły.

Mama Janeczki spojrzała z troską na córkę i jej koleżankę.

– Co się stało? – spytała.

– Mówią po niemiecku i ciągle krzyczą, i nie ma naszej nauczycielki i... – dziewczynka jednym tchem przekazała swoje żale, a Lucynka dodała:

– Ciociu, pan Zdziechowski powiedział, że już nie będzie, ani oszczędzania w SKO, ani sklepiku. A ja tak lubiłam tam kupować. Najbardziej bułeczek mi szkoda. Janka i Zosia kupowały je

w piekarni u Bajnisza i smarowały marmoladą. Dzieci zawsze wszystkie wykupiły, takie były dobre.

– A! – przypomniała sobie Janka. – Drużyny harcerskiej też już nie będzie...



W sklepiku szkolnym. Nauczyciel – Jan Zdziechowski.
Od prawej: Janina Topolska, Maryla Perlińska, Milena Kontecka.

***

Czasy zmieniły się i ludzie do końca nie wiedzieli, komu można ufać. Dawni sąsiedzi, o których mieli jak najlepsze zdanie,

stawali się z dnia na dzień gorliwymi zwolennikami Hitlera, inni donosili nowym władzom z chęci wzbogacenia się lub wyrównując dawne porachunki, ale byli też tacy, którzy niezależnie od przynależności narodowej i wyznawanej religii pomagali ludziom bezinteresownie.

– Panie Salomon, ktoś do pana – powiedział wchodząc do mieszkania Michał Łaznowski, lokator przyjęty na kwaterę do Berkowiców.

– Shalom – usłyszeli pozdrowienie przybysza.

– Shalom. Dobre, czy złe nowiny cię tu sprowadzają? – gospodarz powitał kolegę Joska Siwka. – Bo to teraz takie czasy, że człowiek więcej złych, niż dobrych słów przynosi – dodał.

– Tym razem to chyba i jedno, i drugie – odpowiedział Josek i usiadł na podsuniętym przez gospodarza krześle. – Ale masz rację. Lepiej uważać, bo to nigdy nie wiadomo. Ludzka podłość jest wielka. Gdyby Bóg żył na ziemi ludzie wybiliby mu szyby, ale na szczęście Pan Bóg dał człowiekowi dwoje uszu i jedne usta, żeby dużo słyszał i mało mówił.

Poprawił się na krześle i podrapał w głowę.

– Od czego by tu zacząć?

– Bardzo źle? – spytał Salomon z obawą, widząc, że gość ma trudności z przekazaniem wiadomości.

– Musicie się jak najszybciej wyprowadzić z tych mieszkań – spojrzał, jak kolega zareagował na wiadomość, ale widząc, że siedzi z kamienną twarzą i nie odpowiada, kontynuował: – Będą wysiedlać wszystkich z tego domu, tak jak to już zrobili w kamienicy przy Kilińskiego. Tylko, że was wywiozą nie wiadomo dokąd.

– Skąd to wiesz?

– Wysłał mnie do ciebie Liberman, a on wie to od Niemca Golkego. Oni już od dziecka się znają, zresztą i Golke i jego żona to dobrzy ludzie są.

Salomon zamyślił się głęboko, a Siwek dodał:

– A!... jeszcze jedna ważna rzecz. Nikt więcej nie może o tym wiedzieć, bo w końcu ktoś się wygada. Teraz w twoich rękach życie rodziny twojej i mojej, i Libermana, i Golkego. Liberman mówił jeszcze, że możecie wziąć dwa pokoje w budynku obok naszej gminy, pod ósmym. Te od podwórka.

Siwek pożegnał się i poszedł. Salomon pozostał z troską i rozterkami, ale rozumiał, że decyzję musi podjąć jak najszybciej.

Nie było innego wyjścia Berkowice przeprowadzili się jeszcze tego samego dnia. Zajęli jedno ze wskazanych pomieszczeń. Drugie oddali rodzinie Michała Łaznowskiego.

Prześladowania Żydów

Niemcy przejmowali od Żydów nie tylko domy i cały ich dobytek – pod groźbą śmierci zakazali im również odprawiania modłów w miejscach publicznych. Zniszczyli więc to, co dla wyznawców judaizmu stanowiło centrum życia religijnego, miejsce kontaktu z Bogiem – spalili bóżnicę. Był to wielki cios dla wszystkich mieszkańców zelowskiego kahału. Smutek, lament i żal były tak wielkie, jak po stracie najbliższej, ukochanej osoby.

Nie była to ostatnia rzecz, jaką Żydzi musieli znieść. Okupanci coraz częściej zamykali żydowskie sklepy, zabierając wcześniej znajdujące się w nich towary. Szyldy znad sklepów zrzucali i niszczyli, a właścicieli wyrzucali na bruk i upokarzali. Byli hałaśliwi i buńczuczni, włóczyli się gromadnie po ulicach, domagając się, aby ustępować im z drogi.

– Hej! Żydzie! To żydowskie ścierwo chyba nie słyszy – powiedział żandarm Hanke.

– Zaraz usłyszy – dodał, śmiejąc się głośno, Johann Neumann, który jeszcze dwa miesiące temu nazywał się Jan Nowak i od wielu lat mieszkał w Zelowie przy ulicy Kociszewskiej.

Złapał oburącz za futrynę i kopnął z całych sił w drzwi sklepu.

Wskoczyli do pomieszczenia.
– Nie ma go – krzyknął trzeci z mężczyzn, Schwemberg.
– Na pewno się schował – dodał Neumann. – Zaraz go znajdziemy.
Zaczęli chodzić wokół, udając, że bawią się w chowanego.
– Raz, dwa – fajna gra, trzy cztery – nie ma Żyda do cholery – pięć, sześć – dalej szukam, siedem, osiem – jak go złapię, to ostukam...
– Aaa! Jest nasza myszka – Johann złapał za ucho kucającego za ladą, wystraszonego Żyda.
Wyciągnęli go na środek sklepu i posadzili na krześle.
– Trzymajcie go. Trochę go ogolimy. Dawno tego nie robił – powiedział Neumann i wyciągnął z kieszeni scyzoryk.
Dwaj koledzy przytrzymali ofiarę, a okrutnik ścinał brodę i pejsy mężczyzny, nie bacząc na ból, jaki mu zadawał. Po skończonej pracy obejrzeli swoje dzieło.
– Nieźle ci to wyszło. Mógłbyś zostać fryzjerem – powiedział, śmiejąc się, Hanke.
Neumann uśmiechnął się i spojrzał na swoje dłonie.
– Chodźmy, muszę się umyć, bo jeszcze się czymś zarażę od tego parcha.
A widząc swą ofiarę ze spuszczoną głową, dodał:
– Nie martw się stary. Lepszy jest Żyd bez brody, niż broda bez Żyda.
Oprawcy zarechotali i odeszli, zostawiając upokorzonego człowieka, odartego z czci i godności.

***

Wkrótce ukazało się kolejne zarządzenie nowych władz, które należało bezwzględnie wykonać. Dotyczyło ono żydowskich książek religijnych i świętych ksiąg. Pisany dorobek kultury i religii semickiej został zebrany i zwieziony w asyście żandarmów na podwórko przy piekarni Bajnisza Herszkowicza, u zbiegu ulic Żeromskiego i Kilińskiego. Wyznaczeni Żydzi zwozili księgi na taczkach i układali w jeden, wielki stos.

– Aj! Waj! Aj! Waj! – mamrotali pod nosem, kiwając się w przód i w tył.
Co chwilę wzywali Najwyższego, prosząc go o pomoc.
– O Jahwe! Czemu nam to czynisz! O Jahwe! Spojrzyj na sługi twoje! Poratuj je w biedzie.
Tymczasem jeden z porządkowych oblał stos naftą i podpalił, rzucając na wierzch kawał palącej się szmaty.
– Aj! Waj! – wzmogły się głosy, przeradzając się powoli w ogólny lament.
Stojący z boku Niemcy przyglądali się niecodziennemu zjawisku z uśmiechem i satysfakcją.
– Nie ma co zawodzić. I tak piszecie nie z tej strony – powiedział wesoło Neumann.
– My tak piszemy od kilku tysięcy lat, a ty w ogóle nie umiesz pisać – odpowiedział odważnie młody, stojący w pobliżu Żyd.
Żandarm odwrócił się i kolbą karabinu uderzył chłopaka w brzuch, a kiedy ten przewrócił się, dołożył mu jeszcze raz, uderzając prosto w twarz.

Nowi administratorzy

Z dniem 26 października 1939 roku zaczął obowiązywać ogłoszony wcześniej dekret o przyłączeniu części okupowanych ziem, w tym Zelowa, do III Rzeszy. Okręg Rzeszy „Poznań", którego namiestnikiem został Gauleiter NSDAP – Arthur Greiser obejmował część terytorium byłego województwa łódzkiego i poznańskiego – granica z pozostałymi okupowanymi terenami, z których utworzono Generalną Gubernię, tzw. Protektorat, biegła tuż obok Zelowa, a jej naturalną część stanowiła rzeczka Pilsia. W miejscu jej przepływu pod szosami, na mostkach w Bujnach Księżych i w Łobudzicach, Niemcy ustawili posterunki kontroli

granicznej. Przy budkach wartowniczych stały obstawione workami z piaskiem Ciężkie Karabiny Maszynowe, a szosy patrolowali żandarmi, jeżdżąc motocyklami BMW, typu Sahara.



Mostek na Pilsi w Łobudzicach – 1939 r.

W niemieckiej gazecie „Deutsche Lodzer Zeitung" napisano, że na wszystkich polach życia społecznego, kulturalnego i ekonomicznego wprowadzona została polityka germanizacji, która realizowana będzie przez zmianę stanu zastanego oraz przez zasiedlenie nowo przyłączonych do Trzeciej Rzeszy obszarów, Niemcami pochodzącymi ze wschodnich terenów przedwojennych ziem polskich. W dniu 30 października 1939 r. Heinrich Himmler, szef niemieckiej policji, wydał zarządzenie rozkazujące rozpoczęcie akcji wysiedlenia ludności polskiej do Generalnej Guberni.

Pierwsze aresztowania

Słoneczny, lekko mroźny dzień 9 listopada nie zapowiadał się źle. Żydzi porządkowali plac po targu z poprzedniego dnia, a żandarmi patrolowali ulice. Życie toczyło się już nowym, narzuconym rytmem i nic nie wskazywało na jakiekolwiek zmiany. Nagle na Rynek wjechały wojskowe, ciężarowe samochody. Niektóre puste, w innych siedzieli żołnierze Wehrmachtu. Po chwili wyskakiwali już na bruk i ustawiali się w dwuszeregu – wzdłuż aut.

– Eins, zwei, drei... – odliczali kolejno.

Po otrzymaniu od oficerów rozkazów rozeszli się trójkami po okolicznych ulicach i domach.

Stanisław Ornaf, prezes Związku Rezerwistów Rzeczypospolitej Polskiej, koła w Zelowie, wraz z dziewięcioletnim synem Marianem wracali do domu z wizyty u rodziny. Do Nowego Rynku, gdzie mieszkali, nie było daleko. Szli więc powoli i rozmawiali.

– To, gdzie teraz wujo Kosik będzie mieszkał? – zapytał niewysoki, szczupły chłopiec.

– Pewnie przeprowadzi się do Rynku.

– A, inni? A, pan Kapuściński?

– Chyba też. Wszyscy muszą się wyprowadzić.

– No, ale dlaczego? – dociekał Maniek.

– Niemcy zabierają im dom. Takie niestety są prawa wojny.

– Nas też zabiorą?

– Nie, chyba nie. My tylko wynajmujemy mieszkania i to właśnie od Niemca, pana Lindnera – tłumaczył ojciec.

– Musimy się pośpieszyć, bo mama czeka z obiadem – dodał Ornaf i przyspieszył kroku.

Szli na skróty, ścieżką pomiędzy domami, kiedy drogę zagrodził im żandarm i dwóch niemieckich żołnierzy.

– Halt! Papieren!

Mężczyzna wyjął dokumenty z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał żandarmowi.



Niemieccy żołnierze.

– Stanislaw Ornaf – przeczytał głośno Niemiec i spojrzał na trzymaną w ręku listę z nazwiskami.

Po chwili odwrócił się w kierunku obstawy i lekko skinął głową. Na ten znak żołnierze dali krok do tyłu i skierowali broń w kierunku zaskoczonego Ornafa.

– Hände hoch[74]! – krzyknął jeden z nich.

– Pójdziesz z nami – dodał żandarm.

– Nic nie zrobiłem. Gdzie mnie zabieracie?

– Nie gadać! – dodał drugi Niemiec i popchnął lufą karabinu zdezorientowanego i wystraszonego człowieka.

– Biegnij do mamy! – krzyknął ojciec, odchodząc. – No, biegnij!

Syn stał z boku ze łzami w oczach, nie wiedząc co się dzieje.

---

[74] *Hände hoch – z niem. ręce do góry.*

– Powiedz mamie, co się stało i niech się nie martwi. Na pewno szybko wrócę – zdążył jeszcze dodać.

Po południu okupanci aresztowali zelowskich księży – proboszcza parafii rzymskokatolickiej – Zygmunta Zycha i wikariusza – Henryka Adamczyka. Były to jedne z pierwszych aresztowań tego dnia. W kolejnych było ich znacznie więcej.

– Aufmachen! Polizei! – razem z łomotaniem do drzwi słyszeli już od świtu mieszkańcy Zelowa.

Czuli się zastraszeni i zdezorientowani. Nie wiedzieli, czy wychodząc z domu kolejnego dnia na pewno do niego wrócą. Niemcy aresztowali i wywieźli w nieznanym kierunku wielu obywateli Zelowa i okolic. Znanych działaczy, nauczycieli, sołtysów, właścicieli fabryk i właścicieli ziemskich. Wśród aresztowanych polaków znalazł się kierownik szkoły nr 2 w Zelowie, major rezerwy Wojska Polskiego – Henryk Wyrąbkiewicz, zelowski działacz, były prezes Zelowskiego Klubu Sportowego i weterynarz – Leopold Gajda, magister Tadeusz Czajkowski – autor książki „O tkaczach zelowskich", Zygmunt Wysocki – komendant Straży Ogniowej, Ignacy Golczyk – przed wojną sekretarz Gminy Zelów, a także Adolf Przepiórkowski, który wraz z Wacławem Guderskim, W. Salskim i Edwardem Zatorskim kupili w dniu 11 kwietnia 1916 roku od Władysława Gąsiorowskiego pierwszą drewnianą kaplicę i plac pod parafię rzymskokatolicką w Zelowie. Aresztowano też ojca Mateusza i Karola – Leopolda Dąbrowskiego.

Niemcy wywozili nie tylko Polaków. Wśród zatrzymanych było też wielu Żydów i dwóch Czechów – Józef Walter oraz Fryderyk Matejka – członek liczącego ponad dwustu wyznawców zelowskiego zboru baptystów, którego aresztowano za zatrudnianie żydowskiego pracownika, a także za pomoc i dokarmianie wrześniowych uciekinierów. Akcją aresztowań i wywózek dowodził Jupp Fuchs, członek NSDAP, szef Arbeitsamtu w Zelowie.

Judenrat[75]

W drugiej połowie listopada w zelowskim kahale zawrzało i powiało nadzieją lepszego, pewniejszego jutra. Wcześniej, zgodnie z wrześniowymi wytycznymi, okupanci powołali na terenach okupowanych Judenraty, którym teraz określili konkretne funkcje i cel działania. W Zelowie była to grupa dwunastu mężczyzn, osób wpływowych w miejscowej społeczności. Prezesem został Naftali Mayer. Zadaniem grupy było koordynowanie prac administracyjnych na rzecz społeczności żydowskiej oraz wykonywanie poleceń okupanta. Judenraty zobowiązane były też do dostarczania ludzi do pracy, zbierania i przekazywania datków materialnych i finansowych dla Niemiec, czyli tzw. kontrybucji oraz do sprawowania opieki zdrowotnej nad ludnością żydowską. Miały one gwarantować sprawne wykonywanie powierzonych zadań. Zwierzchnictwo nad Judenratami sprawowały niemieckie władze administracyjne – zasadnicze decyzje dotyczące życia w tych obszarach podejmowali Niemcy.

Zelowska Rada składała się głównie z członków przedwojennej Rady Żydowskiej. Ich pierwsze spotkanie przebiegało w niezwykle burzliwej atmosferze. Każdy miał swoje zdanie, swój pomysł na pracę i własną ocenę nowo zaistniałej sytuacji.

– Myślicie, że nie będą gadać, że współpracujemy z Niemcami dla własnych korzyści? – powiedział Rozenblum.

– A, jakie ty widzisz inne wyjście? – odpowiedział zdenerwowany prezes Mayer.

– Chcesz, żeby cię deportowali? Czy może wolisz dostać kolbą po głowie? To szansa dla nas, Żydów. Żeby przetrwać, trzeba po prostu się podporządkować. Oni nas potrzebują. Gdzie znajdą taką darmową siłę roboczą? Kto wykona najgorsze prace?
Kto im buty zreperuje, czy ubranie uszyje?

[75] *Judenrat – Żydowska Rada Starszych.*

Nie mówiąc już o tym, że do gęby też muszą coś włożyć.

Siedzący dotąd cicho Jakub Goldsztajn, rabin Zelowa, wstał i gestem ręki poprosił, żeby się uciszyli.

– Jednym z naszych zadań jest zadbanie o higienę, opiekę zdrowotną i o żywność – zaczął mowę. – Z pewnością będzie to kosztowało dużo więcej, niż przed wojną, ale będziemy mogli pomóc naszym, żeby mieli dach nad głową i mieli co do garnka włożyć. Jednak musimy trzymać się razem i pokazywać razem. Przedtem wielu z nas było zwolennikami wielkiego rabina z Góry Kalwarii, inni zwolennikami rabina z Radoszyc, jeszcze inni rebego[76] z Aleksandrowa, na zewnątrz jednak zawsze występowaliśmy jednolicie. Były wewnętrzne podziały między nami i wiem, że są tacy, co woleliby, żeby tak było dalej. Czasy jednak się zmieniły i musimy się do nich dostosować. A praca? Żadna praca nie przynosi ujmy, bo każda jest pobłogosławiona przez Boga. Dzięki niej uczestniczymy w dziele stworzenia świata, bo kiedy Bóg stworzył ludzi, rzekł do nich: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną, abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi".

Nowe zarządzenia

Na okres zimowy Niemcy zmienili godzinę policyjną. Obowiązywała teraz od 20.00 do 5.00 dla Polaków, a od 18.00 do 6.00 dla Żydów. Zmienili też nazwy ulic – Kościuszki na – Lasker Strasse, Żeromskiego – na Evangelische Strasse, Rydza Śmigłego (dawna Piotrkowska) – na Kopernikus Strasse, Poznańskiej – na Sebastian Bach Strasse, Dzielnej – na Wehr Strasse, a Rynku

[76] *Rebe – zwrot grzecznościowy, za pomocą którego zwracano się do nauczyciela w chederze.*

– na Alter Markt, i pozostałe, ale na co dzień, tak wśród mieszkańców Zelowa, jak i używane przez Niemców, były nazwy polskie.

Po wprowadzeniu kartek na żywność okupanci wprowadzili kolejność kupowania towarów w sklepach. Od godziny 7.00 do 9.00 świeżą żywność i duży jej wybór mieli Niemcy i Czesi, od 9.00 do 10.00 kupowali Polacy, a od 10.00 do 11.00 – Żydzi.

– Figurowa! Marysia! – kobieta odwróciła się i zatrzymała.

– A, co tam? – powiedziała do goniącej jej sąsiadki.

– Gonie i gonie. Uff! Niech odsapne kapke – Malentowa zatrzymała się, ledwie łapiąc oddech. – Co tam takie krzyki były w sklepie? – spytała po chwili, jeszcze zasapana.

Pani Marianna machnęła ręką.

– Ludzie to są dziwni. Wiesz przecież, że o tej porze to już w mięsnym nie ma czego szukać. No, ale Niewieczerzał to porządny człowiek jest i czasem zostawi kawałek kości na zupę, a czasem to nawet więcej niż kawałek, bo wie, że dam dzieciakom Moszka Sierakowskiego. U nich teraz bieda, że aż przykro patrzeć. No i wlazła akurat ta... skur... kowana, lisica farbowana i dalej się wydzierać, że nam Polakom nie wolno... Wyszłam szybko, żeby jej nie przyłożyć i żeby właściciel nie miał nieprzyjemności.

Malentowa nie pytała nawet o kogo chodzi. Wszyscy doskonale znali wciąż awanturującą się sąsiadkę.

– Patrz Marysiu. Jeszcze pare miesięcy temu taka była porządna i jak to jej w głowie namieszali. Nikt tak do końca nie wie, co w człowieku siedzi – dodała po chwili.

Figurowa pokiwała głową.

– Tak, to prawda – powiedziała zamyślona.

– A, słyszałaś jak Kube dostał po grzbiecie? – uśmiechnęła się Malentowa.

Sąsiadka spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Kube? Od kogo?

– Ta podlizna przebrała się za Żyda i poszła do sklepu, żeby sprawdzić sprzedawcę. Niby, że chce coś kupić. Oczywiście zrobił to wtedy, kiedy Żydzi nie mogą iść do sklepu. Akurat podjechał furmanką Kubik z Walewic i poznał przebierańca, więc dalej go batem okładać. „Ty, Żydzie! Nie wiesz, że nie wolno ci teraz kupować!" – nakrzyczał na niego. – Zdzielił mu parę razy i szybko wyszedł, żeby czasem nie miał problemów, jak się wszystko wyda. Konie miał dobre i gumówkę, to tamten nawet tabliczki na wozie nie zobaczył.

Kobiety zaczęły się śmiać.

– Dobrze tak szpiclowi, dobrze. Należało mu się. Nie tylko za to – powiedziała pani Marianna.

***

Listopadowa wymiana pieniędzy dotyczyła wszystkich mieszkańców. Zakaz używania radia obowiązywał Polaków i Żydów, a wszystkich dotyczył zakaz zawierania związków małżeńskich z Żydami. Zarządzeń było coraz więcej. Coraz częściej zdarzały się pobicia i upodlenia Semitów. Ci prawdziwi Niemcy, i ci „farbowani" z entuzjazmem realizowali polecenia władz wobec narodu żydowskiego, który stał się obiektem drwin, wyzwisk i prześladowań.

Oznakowanie Żydów weszło w życie już wcześniej – 14 listopada 1939 roku. Wszyscy Żydzi powyżej 10. lat mieli nosić opaskę na przedramieniu, która wskazywałaby ich przynależność rasową. W grudniu okupanci zmodyfikowali to zarządzenie. Żydowskie pochodzenie wskazywała żółta Gwiazda Dawida z tyłu i z przodu na ubraniu. Niepodporządkowanie się temu nakazowi było karane więzieniem, jednak zaborcy chętnie samemu, ręcznie, wymierzali „sprawiedliwość".

Nachodzili żydowskie mieszkania i zabierali, co tylko chcieli. Domowników poniżali i bili. Zajęcie to upodobali sobie szczególnie lokalni Niemcy.

Mimo częstych grabieży najeźdźcy dodatkowo nakładali na Żydów daniny pieniężne.

Za zebranie odpowiedniej kwoty pieniędzy odpowiadali pod groźbą śmierci przedstawicie Judenratów.


Gebäudesteuerbescheid

für die Zeit vom 1. Januar 1940 bis

Nakaz płatniczy Joska Wigdorowicza.

Władze niemieckie przejęły całą własność państwową oraz majątek polskich i żydowskich organizacji politycznych, społecznych i kulturalnych. Ich łupem padło całe mienie żydowskich zrzeszeń religijnych i znaczna część majątku kościoła katolickiego. Rząd niemiecki przejął wszystkie prywatne polskie i żydowskie przedsiębiorstwa przemysłowe, transportowe, hurtownie handlowe, część warsztatów rzemieślniczych i sklepów oraz duże

i średnie gospodarstwa rolne. Panowało dojmujące uczucie poniżenia, upokorzenia człowieka. Każdy Niemiec mógł zbić, brutalnie gonić do roboty i nic, absolutnie nic nie można mu było powiedzieć. Rodziła się psychika niewolnicza – pierwszy, najgorszy skutek niemieckich rządów.

Natalia Zdziechowska siedziała u Wejmanów i płakała.

– No, już nie płacz. Niedługo go wypuszczą – powiedziała gospodyni, starając się pocieszyć lokatorkę.

Kobieta otarła łzy chusteczką.

– Już tydzień minął, jak byłam w gminie i pisałam prośbę, żeby go zwolnili. Wszystko podpisałam, co tylko mi dali i nic – mówiła rozżalona.

Pani Maria pogłaskała ją po głowie i dodała:

– Trzeba poczekać. Przecież to trwa.

Zdziechowska spojrzała z przerażeniem na przyjaciółkę.

– A może on już nie żyje?

– Nie trzeba tak mówić. Zobacz, ile czasu czekała Szkudlarkowa na swojego i się doczekała, i dobrze się wszystko skończyło.

Zastanowiła się chwilę.

– O mężu Wyrąbkiewiczowej też cicho – dodała. – Bidulka też coś podpisała, żeby Henryka wyciągnąć, a za trzy dni już jednego syna – Jaremę, do Wehrmachtu wzięli. To im szybko idzie.

– A ile tam było tego naroda? Każdy chciał się czegoś dowiedzieć. Pisma piszą i pieniądze noszą. Jakbym miała, też bym dała. Oni na to łase są. Ornafowa, żona Stanisława, napisała takie pismo, że ho, ho – niemieckim „gotykiem", bo ona gdzieś spod Gniezna pochodzi i w szkole niemiecki miała, ale Polka – Kaczmarek z domu.

Maria postawiła na stole dwie herbaty. Usiadła przy stole i patrząc gdzieś daleko przed siebie powiedziała:

– Co to się na tym świecie porobiło, a jeszcze niecały rok temu bawiliśmy się wszyscy na Sylwestrze.

Dni szybko mijały. Trudne czasy zwiększyły ilość obowiązków, przysporzyły więcej trosk i problemów. Jednak żyć trzeba było dalej.

– Mieliśmy iść w tym tygodniu na wizytę kontrolną do Misjona, ale jego też aresztowali – powiedziała pani Teresa do syna. – Został nam tylko Zielke, albo ten nowy niemiecki lekarz – Nemelowicz, ale chyba pójdziemy do Rynku, do doktora Zielke.

Franek podskakując na jednej nodze przesiadł się z kozetki na krzesło.

– Po co mam tam kuśtykać, kiedy teraz jesteśmy jego sąsiadami?

– No tak, ale jak pójdziesz do niego do domu, to musisz zapłacić – wyjaśniła mama i dodała: – Szkoda, że nie ma doktora Łuczyńskiego. Jak wyjechali całą rodziną na początku września, to słuch o nich zaginął. Ludzie mówią, że był na liście tych, co ich wywozili w listopadzie.

– Pójde mamo tam, gdzie każesz.

– Dobrze, ale ćwicz, bo już miesiąc minął od zdjęcia gipsu, a ja nie widzę, żeby było lepiej.

Pani Teresa podeszła do miski i zaczęła zmywać naczynia.

– Musisz się bardziej starać. Więcej tych ćwiczeń robić, co to ci doktor zlecił – dodała, nie przerywając zajęcia.

Franek zrobił kwaśną minę.

– Kiedy to kolano zupełnie nie chce sie zginać i ta noga cały czas taka chuda.

– No, a nie słyszałeś co doktor mówił? To dlatego, że mięśnie zginęły, więc trzeba je wzmocnić.

– Wam to dobrze mówić. Myślicie, że nie chciałbym znów normalnie chodzić? Już do końca życia bede kaleką – dodał rozżalony.

– Nawet mi tak nie mów – szturchnęła go w głowę. – Bierz się do ćwiczeń.

Nareszcie w domu

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Franek usiadł przy oknie i patrzył na podwórze. Po gałęziach pobliskiego drzewa radośnie skakały sikorki. Wysoko nad domem kołowało stado gołębi, a na podwórku wesoło dokazywały dwa młode szczeniaki. Pani Szkudlarkowa i jej najstarsza córka krzątały się w kuchni, a młodsze dziewczynki bawiły się w sąsiednim pokoju.

– Zaraz będzie obiad – powiedziała pani Teresa do syna – umyj ręce i zawołaj siostry.

– Co dzisiaj dobrego? – spytał Franek.

– Ryż, mysz i pieczone żabki – odpowiedziała z uśmiechem Kasia.

– Sama sobie zjedz te pieczone żabki... i mysze też – żachnął się Franek.

– Nie kłócić się, bo ani jedno, ani drugie nie dostanie obiadu – mama zakończyła przekomarzania rodzeństwa.

Siadali właśnie do stołu, kiedy otworzyły się drzwi i... w progu stanął Ignacy Szkudlarek.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział.

Zaskoczenie było pełne, ale po chwili wszyscy domownicy rzucili się w kierunku ojca i męża, całując go i witając radośnie.

– Bo mnie udusicie – śmiał się i tulił ich w ramionach, a z oczu kapały mu łzy szczęścia.

Kiedy już nieco ochłonęli, zaczęły się pytania. Gdzie walczył? Czy ciężko było? Dlaczego tak długo nie wracał? Później dzieci jedno przez drugie opowiadały, co się wydarzyło w domu podczas jego nieobecności.

– Tato! Krysia bała się, że nas nie znajdziesz.

– Nie, to ty się bałaś, że tata pójdzie do starego mieszkania i pomyśli, że nas też Niemcy wywieźli – odpowiedziała Rózia.

– Znalazłem was, znalazłem – odpowiedział wesoło ojciec, całując dzieci w czoło. – Choćbyście poszły na koniec świata, to bym was znalazł.

– Teraz dajcie tacie zjeść obiad i odpocząć. Później wam wszystko opowie – powiedziała pani Teresa.

– Smacznego – dodała stawiając na stole talerz z jedzeniem. – Bogu dziękować, że jesteś zdrów i cały – delikatnie ucałowała męża w policzek.

Przez kilka następnych godzin rodzina Szkudlarków nie mogła się sobą nacieszyć. Znów wszyscy byli razem. Grudniowy, niedzielny dzień był dla nich jednym z najszczęśliwszych w ostatnich miesiącach. W końcu Szkudlarek wstał i przeciągnął się.

– Muszę trochę rozprostować kości. Tereniu przejdź się do Wejmanów – poprosił. – Zaproś ich na kielicha.

– Chyba nie będą mogli przyjść, bo Janeczka leży z gorączką.

– No, to ja pójdę. Chociaż się przywitam.

– My też, my też – skakały Krysia i Rózia – zobaczymy, jak się Janka czuje.

– No, to chodźmy wszyscy – postanowił pan Ignacy.

Wejmanowie serdecznie przywitali przyjaciela.

– No, weteran siadaj i opowiadaj – powiedział Adam. – Takie wydarzenie trzeba opić – dodał.

– Toteż i mam, co trzeba – Szkudlarek postawił na stole litrową butelkę wódki.

W tej chwili z korytarza dobiegły jakieś hałasy.

– Bez pukania wchodzę, bo wiem, że czekacie na doktora Łuczyńskiego.

Wchodzący pierwszy, Władek Ulański spojrzał na Szkudlarka.

– Jezus Maria! Wróciłeś – uściskał go serdecznie.

Łuczyński także podał mu rękę.

– Cieszę się, że zdrowym pana widzę – dodał. – Najpierw zbadam chorą. Później porozmawiamy.

– Dobrze, że pan już jest, doktorze. Bieda była w Zelowie bez pana – powiedziała Wejmanowa, wprowadzając lekarza do sąsiedniego pomieszczenia, do leżącej tam córki.

Pozostali w pokoju mężczyźni zasiedli wokół stołu.

– Siadaj, Franek – powiedział Wejman, nalewając mu do kieliszka. Za powrót twojego ojca pijemy – Szkudlarek wzniósł kieliszek w kierunku gospodarza.

– Dziękuję wam za opiekę nad rodziną – zaczął Szkudlarek.

– Jakże mielibyśmy Tereni i dzieciom nie pomóc. Daj spokój. Zrobiłbyś tak samo. Opowiedz lepiej, jak było.

– Nie było lekko, a na pewno nie tak, jak w 20. roku – zaczął wspominać. – Nie mieliśmy czym walczyć przeciw takim potworom. Wszystko w stali: czołgi, armaty. Prawda jest taka, że nasza kochana Polska ma dopiero 20 lat. Dopiero dźwiga się po ponad stu latach grabieży, mordów i niszczenia naszej polskości.

Zapadła chwila ciszy.

– Mimo to kilka razy dostali takiego łupnia, że musieli się cofać. Dalibyśmy im radę, bo mieliśmy ducha walki, bo walczyliśmy o ojczyznę, o honor polskiego żołnierza... gdyby nie ci bandyci ze wschodu... Tak. Dalibyśmy im radę.

– Napijmy się za naszych dzielnych wojaków – powiedział gospodarz.

Władek Ulański podniósł kieliszek i skierował go w stronę Ignacego.

– Za twój szczęśliwy powrót – w ciszy przechylili kieliszki.

– Wielu jeszcze nie wróciło i nie wiadomo, co z nimi? – powiedział Szkudlarek.

– Wielu też poległo – dodał Ulański. – Słyszałeś Ignacy o młodym Kapuścińskim?

– Dziś się dowiedziałem. Znałem go od dziecka. Kula nie wybiera.

Wejman ponownie napełnił kieliszki.

– On już w niebie, w polskim mundurze przy boku św. Piotra wartę trzyma. Tylko, że żal i udręka dla żyjących.

– Tak, tak – zamyślił się pan Władysław, a po chwili dodał: – To nie ta sama wojna na jakiej ja wojowałem, choć też nie było łatwo. Kiedyśmy pod Hallerem walczyli, przyszło raz do ataku na bagnety. Pod Zbarażem to było. Tym słynnym – z Sienkiewicza.

Wyskoczyliśmy z okopów i biegiem z krzykiem przed siebie. Bolszewik to samo. Biegnę przed siebie, ledwie już tchu w piersiach miałem, a tu nagle naprzeciw mnie Rusek – wielki, jak dąb. Podniósł bagnet w górę i do mnie mierzy. Nie wiem kiedy, ale wypaliłem. Prosto w jego brzuch. Zwinął się, a ja stałem i patrzyłem, nie wiedząc, jak i kiedy to się stało. Na wojnie jedna chwila, jedno zawahanie, jedna zła decyzja zaważyć może o życiu lub śmierci.

Szkudlarek opróżnił kieliszek i chciał coś dodać, ale drzwi od pokoju chorej otworzyły się.

– Angina – powiedziała głośno pani Maria, informując wszystkich o stanie zdrowia córki.

– Zapraszamy do nas doktorze – gospodarz wskazał na puste miejsce przy stole.

Łuczyński usiadł na wskazanym miejscu.

– Zapisałem leki. W cieple trzymać. Niech się dobrze wypoci.

Wzniósł kieliszek w stronę Szkudlarka.

– Tak. Chętnie napiję się za szczęśliwy powrót naszego dzielnego żołnierza – dodał.

– Tak, tak. Za zdrowie Ignacego – powtórzyli wszyscy razem.

– Mów dalej, Ignacy – powiedział Adam.

– Z kolegą, Józkiem Klukiem, byliśmy w 10 Pułku Piechoty w Łowiczu. Józek mieszka niedaleko stąd – w Przymiłowie, koło Marzenina, ale pochodzi z Wygiełzowa. Przeszliśmy razem kilka krwawych bojów. Najgorszy był ten ostatni. Nękały nas samoloty niemieckie, począwszy od koszar – lasy księcia Radziwiłła.

Ostrzeliwanie i potyczka z dywersantami pod Mszczonowem. Tam zostaliśmy zdziesiątkowani. Dowódca wydał rozkaz, żeby każdy, jak może, na własną rękę udał się do Garwolina i tam się spotkamy. Tak też udaliśmy się na Warszawę. Byliśmy na Pradze, a następnie na Grochowie ostrzelani i bombardowani przez bombowce i myśliwce niemieckie, a szczególnie na Grochowie. Dotarliśmy do Garwolina. Garwolin palił się strasznie. Wojsko, z którym mieliśmy się połączyć, odmaszerowało.

Wówczas służba wojskowa poinformowała nas, żebyśmy udali się do Lublina. Tak też dojechaliśmy pociągiem do Lublina, gdzie zostaliśmy włączeni do 8. Pułku Piechoty. Później obraliśmy kierunek na Chełm Lubelski. Po drodze również byliśmy ostrzeliwani przez samoloty niemieckie. W Chełmie rozpoczęła się bitwa. Kierowaliśmy się na Zamość – Tomaszów Lubelski, gdzie odbywały się walki frontowe. Na polu pod okopami niemieckimi Józek został raniony granatem ręcznym. Ja dostałem postrzał z karabinu w nogę i biodro. To było 23 września.

Na rozkaz dowódcy: „chłopcy do tyłu" razem z innymi rannymi odwlekliśmy się około 50 metrów w łubin i tak doczekaliśmy do rana. Chyba byłem nieprzytomny, bo niewiele pamiętam. Po 24 godzinach staraliśmy się razem jakoś przeczołgać dalej, ale nie daliśmy rady, więc zaczęliśmy krzyczeć o ratunek. Wówczas Niemcy, będąc nadal w okopach, przyszli, aby nas zabrać. Mówili, żebyśmy wstali, ale obaj dostaliśmy w nogi, więc nie mogliśmy. Wtedy powiedzieli, że przyślą sanitariuszy. Nie mogliśmy się doczekać, więc krzyczeliśmy znowu. Przysłali dwóch polskich jeńców, którzy po kolei zanieśli nas na płaszczu do Niemców, do stodoły.

Następnej nocy niemieckie auto sanitarne zawiozło nas do szpitala w Tomaszowie Lubelskim. Na drugi dzień rano mnie opatrzyli, bo kule przeszły na wylot, a Józka zanieśli na salę zabiegową. Poznał tam lekarza z naszego oddziału. On mu powiedział, że zostało rannych 800 ludzi, dla których nie było miejsca.

Lekarz, widząc, że jest z nim bardzo źle, kazał go umieścić w szpitalu powiatowym, gdzie miał być pod lepszą opieką. Mnie też tam przenieśli.

Leżeliśmy razem w szpitalu w Tomaszowie dwa miesiące. Później Józka przewieźli w ciężkim stanie do Zamościa – wojskowego szpitala PCK, a ja leżałem jeszcze dwa tygodnie, aż wydobrzałem i mogłem wrócić do domu. O Józku nic więcej nie wiem. Tylko list mi dał do rodziny i zdjęcie.



Uczestnicy kampanii wrześniowej 1939. Z prawej Józef Kluk.

Gospodarz postawił na stole litrową butelkę samogonu, a Władek napełnił kieliszki.

– Piję za to, żeby nasi wrogowie żyli z samej pensji, a cukier mieli tylko w moczu... Mów dalej Ignacy, mów dalej – dodał.

Szkudlarek zamyślił się chwilę i zadumał, ale po chwili kontynuował swą opowieść.

– Nie oddamy nawet guzika mówili... Nie tylko guzik oddali, ale mundur i wszystko inne. Sojuszników mieliśmy mieć – mówił rozgoryczony. – Liczyliśmy na nich... Nie umiesz ugryźć, nie kłap zębami... No, ale to nie koniec. Niech oni się tak nie cieszą. Przyjdzie jeszcze na nich sprawiedliwość.

Jeszcze we wrześniu spotkałem Mędrzyckiego, jak szliśmy na Warszawę, traktem przez Sromutkę. Do domu nie mogłem zajrzeć, bo były rozkazy, ale on przy szosie siostrę spotkał i ona go prosiła, żeby nie jechał, żeby został. Wiecie co on jej powiedział? Powiedział jej: „Ja munduru polskiego żołnierza nie splamię".

– I my tego nie zrobiliśmy i nie zrobimy, i nie spoczniemy, póki znowu Polska nie będzie wolna. Tak nam dopomóż Bóg.

– Amen – dodał Ulański.

– A doktor, gdzie bywał przez ten czas? – Wejman zwrócił się w kierunku gościa.

Łuczyński poprawił się na krześle, założył nogę na nogę i odchrząknął.

– Zaraz na początku, po bombardowaniu Wielunia i spaleniu Szczercowa, wielu wyjeżdżało. Powzięliśmy decyzję, że my też wyjedziemy, żeby przeczekać. Zapakowaliśmy się do mojego fiata i pojechaliśmy na Polesie do Drohiczyna Poleskiego, do rodziny żony. Mieszka tam wujo żony, Przyjemski Marek, porucznik. Właściwie to on ma Stanisław, ale my mówimy do niego Marek. To on budował wiosną te umocnienia obronne w Łubcu. Tam się wynieśli już wcześniej, bo dostał od Piłsudskiego za zasługi w wojnie bolszewickiej 20 hektarów ziemi. Jego nie było w domu, bo jak mu dali w sierpniu kartę mobilizacyjną, to do tej pory nie wiadomo gdzie jest i czy w ogóle żyje. Wierzył, że wojna potrwa tylko tydzień, bo jak się Anglia i Francja ruszą – to z Hitlerem raz dwa zrobią porządek. Jechaliśmy przez Łódź na Warszawę, bo w Łodzi zabraliśmy jeszcze żony matkę. Koło Błonia już były zatarasowane drogi i nie chcieli nas puścić dalej. Myśleli, że szpiegiem jestem. Na szczęście pozwolili mi zadzwonić. Mam, a właściwie miałem, ciotkę w Ministerstwie Obrony. Udało mi się z nią skontaktować. Ona przekonała ich, że jesteśmy patriotami, a nie jakimiś szpiegami. Na szczęście od Boga udało się. Pojechaliśmy dalej. Na Polesiu był względny spokój. Dopiero 19 września w nocy przyszli do domu czubaryki[77]. Kazali nam pisać oświadczenia, że chcemy być obywatelami radzieckimi, więc zaplanowaliśmy po cichu, że wracamy do Zelowa, ale żona się rozchorowała i wyjazd musieliśmy odłożyć. W końcu jednak

[77] *Czubaryki – gwarowo żołnierze Armii Czerwonej.*

uciekliśmy stamtąd. I co się okazało po powrocie? Że byłem drugi, czy trzeci na tej liście do wywózki. Może dlatego, że byłem szefem PCK, może dlatego, że komuś kiedyś podpadłem, a może z zupełnie innej przyczyny. Tego nie wiem. Nie dojdzie się teraz. Dość, że po powrocie zastaliśmy dom prawie zniszczony. Prawie wszystko pokradli. Podobno ktoś powiedział, że pod Ruścem nas martwych widzieli. Mniejsza z tym – doktor machnął ręką. – Polejcie jeszcze – podniósł kieliszek. – Trochę lekarstwa na te ciężkie czasy – dodał i spojrzał na Franka. – A ty kolego, coś nie bardzo z tą nogą? Jakoś na wiosnę ten wypadek miałeś. Kiedy ci gips zdjęli?

– Właśnie doktorze, bo doktora Misjona aresztowali.

– Słyszałem – przerwał Łuczyński.

– No, a ja bym chciał… żeby doktor…

– Dobrze, dobrze… ale nie pora teraz, żebym… Przyjdź jutro. Obejrzymy nogę i coś zaradzimy. Za młody jesteś, żeby kaleką zostać.

Zima nie pokazała jeszcze w pełni swojego oblicza. Śniegu nie było, choć czuć go było w powietrzu. Tylko zimny wiatr hulał, gwiżdżąc złowrogo w szczelinach płotów i między koronami drzew, jakby zwołując duchy poległych żołnierzy na świąteczny apel. Nie paliły się, jak co roku wystawiane na balkony, światła Chanuki, a księżyc, który zasłaniany był raz po raz przez ciemne, szybko płynące chmury, rzucał dziwnie trupi blask na domy i opustoszałe ulice.

Zbliżała się Wigilia Bożego Narodzenia. Ludzie przygotowywali się do świąt. Dla wielu rodzin nie mogły być one radosne. W ciągu kilku miesięcy wojny życie straciło wiele tysięcy ludzkich istnień. Setki tysięcy ludzi dostało się do niewoli. Żal i ból po stracie bliskich powodował, że w wielu domach były to niezwykle smutne święta. Dla tych, których los był nieznany, stawiali na stole pusty talerz i liczyli na bożonarodzeniowy cud.

W rodzinie Szkudlarków cieszyli się z powrotu głowy rodziny, ale myśleli też o tych, których znali, a którzy jeszcze nie wrócili. Myśleli o rodzinie. O Karolu i Mateuszu Dąbrowskich nie było żadnych wieści, a o mężu Józefa Dąbrowska wiedziała tylko tyle, że razem z innymi został wywieziony do Pabianic. Teresa zaprosiła siostrę na wigilię, ale jej odmówiła, twierdząc, że musi być w domu, że musi choć symbolicznie połamać się opłatkiem z nieobecną rodziną. Wierzyła, że gdziekolwiek oni są, zrobią tak samo.

Pani Wejman siedziała przy stole razem z sąsiadkami, Ulańską i Szkudlarkową. Rozmawiały o świątecznych wypiekach i o tym, że w tym roku święta będą skromniejsze, ale na wigilijnym stole nie zabraknie kaszy, kapusty z grochem i ryby.

– Tylko, skąd wziąć słodyczy dla dzieci? – zmartwiła się pani Stefania. – Może ugotujemy buraków i melasę wlejemy w foremki? Dawniej moja mama tak robiła. Przy okazji będzie do ciasta.

– To bierzmy się do roboty, żeby było gotowe, zanim wrócą – odpowiedziała gospodyni.

Dziewczynki wróciły ze szkoły już po dwóch godzinach.

– Co, już wam ferie zrobili? – spytała mama Janeczkę.

– Tak mamo i to na zawsze – odpowiedziała smutno córka.

– Co to znaczy „na zawsze"?

– No, bo pan kierownik powiedział, że od stycznia, to tylko Niemcy mogą przychodzić do szkoły, a jak Lucynka spytała, kiedy my będziemy chodzić, to on mamo powiedział, że: „Jak zimą róże na polu zakwitną". A przed wejściem to wywiesili taką tablicę, jak w sklepach i w tej restauracji, co to ją przedtem miała pani Czarnotowa: „Nur für Deutsche"[78].

---

[78] *Nur für Deutsche – Tylko dla Niemców.*

Rok 1940

Z dniem 1 stycznia 1940 roku Niemcy wprowadzili na terenie Gminy Zelów Zarząd Komisaryczny na czele z komisarzem Johannesem Bergerem. Zarządzał on majątkiem gminy, kontrolował handel, przemysł, rolnictwo, opiekę zdrowotną i oświatę. Odpowiedzialny był także za infrastrukturę. Podlegała mu była policja, Urząd Stanu Cywilnego i księgi meldunkowe. Już pod koniec grudnia 1939 roku wprowadził się do świeżo wyremontowanych mieszkań na piętrze kamienicy, przy Rynku 9. Z narożnego pokoju z balkonem nad restauracją, mógł doskonale obserwować to, co dzieje się na placu głównym osady oraz przyległych do niego ulicach Hindenburg Strasse (Sienkiewicza) i Bismarck Strasse (Kilińskiego).

W styczniu 1940 roku nazwa Okręg Rzeszy „Poznań" przestała funkcjonować. Kraj Warty (Reichsgau Wartheland lub Warthegau) – te nazwy widniały teraz na wszelkiego rodzaju dokumentach cywilnych i wojskowych. Pod koniec miesiąca okupanci powiększyli terytorium III Rzeszy. Zmianie uległa, wytyczona według starych planów z czasu rozbiorów Polski, wyznaczona wcześniej granica. Została ona, na skutek protestów Niemców zamieszkujących Bełchatów, przeniesiona w okolice Piotrkowa Trybunalskiego, na rzekę Grabię. Główny posterunek graniczny na tym obszarze Niemcy ulokowali we wsi Mzurki, kolejny, w miejscowości Kluki.

***

Luty 1940 roku pokazał, na co naprawdę go stać. Najpierw śnieg okrył grubą warstwą pola, lasy i domy. Później przyszedł mróz taki, że sztachety w płotach pękały z trzaskiem, a ludzie i zwierzęta marzli do szpiku kości. Mimo tego ulice były odśnieżone, a śnieg wywożony był wozami do pobliskich lasów. Specjalne ekipy porządkowe złożone z Żydów i Polaków stawiały się każdego dnia skoro świt do pracy, dbały o porządek i przejezdność ulic. Dopiero wieczorami mieszkańcy osady mogli ogrzać się i odpocząć w domach. Porozmawiać o aktualnych wydarzeniach, jakie dostarczała niemiecka prasa i dostępne tylko niektórym, radio. Plotki, ploteczki i poważne sprawy przekazywali sobie z ust do ust. Kogo Niemcy wywieźli, komu i za co dali mandat zelowscy żandarmi, gdzie kupić świeżego mięsa i gdzie okupanci kupują bimber. Najwięcej informacji o świecie dostarczali przyjezdni.

Stanisław Ornaf – młody, niespełna czterdziestoletni mężczyzna zasiadł przy stole wśród znajomych i sąsiadów.

– Pomogło mi pismo od żony z tymi dziesiątkami podpisów – zaczął. – I szczęścia trochę miałem. Nie tak, jak niektórzy. Zamordowali ich po prostu.

– Zacznij od początku, Stasiek – wtrącił miejscowy fotograf, Bolesław Grajnert.

– Jak wiecie, zabrali mnie razem z innymi na początku listopada. Z samego Zelowa, razem ze mną, w tym pierwszym transporcie, było nas trzydziestu. Sami znajomi: nauczyciele, działacze, fabrykanci. Nawet Rajcherta aresztowali. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie jedziemy. Okazało się, że do Pabianic. Mimo wszystko ucieszyłem się, bo tam się urodziłem. Zabrali nas do kina „Zachęta". Posadzili na krzesłach na sali. Na scenie stanęli żołnierze z automatami skierowanymi na nas i tak siedzieliśmy przez kilka godzin. Tylko za potrzebą można było wyjść. Nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. Rozmawiać nie było można. Minęła noc. Następnego dnia rano przyszedł jakiś oficer. Wyczytał kolejno nazwiska. Zabrali między innymi Poldka Gajdę, Heńka Wyrąbkiewicza i Misjona. My dostaliśmy wodę i chleb i co jakiś czas na komendę na przemian wstawaliśmy i siadaliśmy na tych krzesełkach. Taką gimnastykę nam robili. W południe dołączyli do nas nowi,

też z Zelowa. Wójta Maksymowicza przywieźli, Staśka Piechotę i Przepiórkowskiego. I tak było przez kilka dni, a coraz to więcej nas było w tym kinie. Wszyscy zastanawialiśmy się gdzie są nasi księża, bo razem jechaliśmy. Albo siedzieli gdzieś oddzielnie? Albo ich wypuścili? Nikt nie wiedział.

Wypowiedź Ornafa przerwał Tadeusz Zelmozer.

– Jakoś tak koło 11 stycznia wrócili – rozejrzał się po obecnych, jakby szukając potwierdzenia swoich słów.

– Tak. Tak było – potwierdził Grajnert. – A w tym czasie, jak byli aresztowani, to z Łasku przyjeżdżał ksiądz msze odprawiać – dodał. – No, ale opowiadaj dalej.

– Kilka razy brali mnie na przesłuchania. Proponowali mi zmianę narodowości na niemiecką. Odmawiałem, więc siedziałem dalej. Ale byli tacy, co wyrazili zgodę. Między innym Rajchert. On od razu pojechał do domu. Po jakimś tygodniu dziedzice z okolic Zelowa, którzy na trzeci dzień do nas dołączyli, napisali petycję o umożliwienie dostarczenia nam, od nich – z ich majątków, ich własnej żywności. Otrzymali zgodę i po napisaniu pełnomocnictw ich rodziny dostarczały nam jedzenie. Oczywiście Niemcy też na tym korzystali. Zorganizowaliśmy kuchnię i stołówkę. Było trochę lepiej, choć co jakiś czas robili selekcję między nami. Dowozili też innych mężczyzn. Głównie z okolicy Pabianic. Jakoś przed świętami mnie i jeszcze kilku wywieźli do Radogoszcza. Na początku dali nas do starej cegielni, ale jak skończyliśmy remontować starą fabrykę, to tam nas wsadzili. Tam też dowiedzieliśmy się, że z kina, gdzie byliśmy, część ludzi wywieźli do Generalnej Guberni, w tym Adolfa Przepiórkowskiego... Część – właśnie do Radogoszcza, a niektórych podobno gdzieś w lasach Lućmierskich rozstrzelali. Niestety także Misjona, Gajdę, Tadeusza Grzelczaka, Władysława Lisa, Matejkę i Waltera, Wyrąbkiewicza podobno, gdzieś indziej wywieźli. Przesłuchiwali mnie jeszcze kilka razy, ale w końcu wypuścili – przerwał opowieść, lecz po chwili dodał: – Ciężkie czasy idą. Jakich jeszcze nie było...



Z lewej: Tadeusz Zelmozer. Z prawej: Zygmunt Grajnert – malarz, Stanisław Ornaf, Bolesław Grajnert – fotograf. Zdjęcie wyk. Marian Ornaf.

Na wiosnę 1940 roku topniejący śnieg odsłonił brud i pozostałości zwierzęcych odchodów. Rozpoczęła się akcja sprzątania miasta. Judenrat otrzymał polecenie, aby tym razem zamiast codziennej pięćdziesięcioosobowej grupy do pracy stawiło się stu Żydów. Wyznaczeni z każdej żydowskiej rodziny zdolni do pracy mężczyźni, kobiety i dzieci po 14 roku życia stanęli skoro świt w Rynku.

Oprawcy najczęściej i najchętniej wykorzystywali do tego typu prac najbardziej znanych i najbogatszych członków miejscowej społeczności żydowskiej. Dla własnej uciechy nakazywano im sprzątanie ulic przy użyciu własnych czapek i kapeluszy. Brud z jezdni i chodników kazano wydrapywać paznokciami. Nadzorujący sprzątanie niemieccy żołnierze sprawdzali sumienność wykonanych prac, a znalezienie brudu karane było biciem kolbami

karabinów, kopaniem i poniżaniem. Zmiecione nieczystości znoszone były czapkami w wyznaczone miejsce, które złośliwie kilka razy zmieniano.

Salomon miał odrobinę szczęścia. Z racji jego zawodu wyznaczono go do pracy w fabryce Pawła Recława, przy Kościuszki 74. Przedsiębiorca zatrudniał Polaków i Żydów, którzy od rana do wieczora szyli i naprawiali bieliznę dla wojska. Oprócz tego Żydówki tam pracujące robiły na drutach wełniane skarpety dla niemieckich żołnierzy. Sara sprzątała i gotowała u Freuda, który jako kierownik szkoły także tam mieszkał. Nie było jej tam źle. Dostawała za to wyżywienie, a czasem mogła wziąć kawałek chleba do domu. Miriam pozostawała pod opieką starszych Żydówek, prowadzących ochronkę.

Niektóre małe, żydowskie warsztaty rzemieślnicze pracowały za zgodą Niemców i dla nich. Żydzi wyrabiali trepy, szyli ubrania, Żydówki szyły kalesony i bieliznę. Bywało, że nawet Niemki nosiły do nich do przeróbki swoje ubrania, płacąc za usługę żywnością. Żydzi i Polacy pracowali także w dwupiętrowym budynku fabryki Lewiego, dawnego zamożnego mieszkańca Zelowa. Szyli i naprawiali Niemcom bieliznę, koszule i palta. Dawid najpierw był w ekipie porządkowej. Kopał i czyścił rowy melioracyjne. W końcu Abba Liberman, szef Żydowskiej Służby Porządkowej, zięć Jakuba Lewiego, zaproponował mu pracę.

Zadaniem tej powołanej przez Judenrat grupy było pilnowanie porządku i ładu na coraz gęściej zaludnionym terenie zamieszkanym przez Żydów. W szeregach nowo powołanej instytucji służyli przede wszystkim przedwojenni frachtowcy, czyli ochroniarze transportów samochodowych, które były wysyłane przed wojną z gotowym towarem do Łodzi, a nawet za granice Polski. Ich białe opaski z niebieską „Gwiazdą Dawida", które nosili na rękawach kurtek zezwalały im na swobodne przemieszczanie się po Zelowie, w przeciwieństwie do pozostałych Żydów, którzy mieli zakaz chodzenia po ulicach.

Tymczasem okupanci wprowadzali w życie nowe zarządzenia i przepisy. Zmienili nazwę pobliskiej Łodzi na Litzmannstadt, a Zelowa na Selow. Wprowadzili nakaz nadawania nowo narodzonym dzieciom drugiego imienia, głównie Kazimierz i Kazimiera, na pamiątkę króla Kazimierza Wielkiego, który sprowadził Żydów do Polski. Kolejne zmiany dotyczyły między innymi zwierząt. Niemieckie władze zarządziły likwidację wielu psów. W gospodarstwie mógł pozostać tylko jeden pies. Skóry zabitych zwierząt używane były, jako podszewki zimowych ubrań wojskowych. Zarządzenie wykluczało zabijanie psów rasy „owczarek niemiecki".

Szmugiel

Nowe czasy wymusiły na ludności zmianę sposobu myślenia. Trzeba było dostosować się do nowych realiów. W czasach kartek na żywność, czy niedostatku niektórych towarów ludzie szukali sposobów na lepsze życie. Sprzyjało to spekulacjom cenowym. Kwitł handel wymienny często znacznych ilości towaru.

Do Adama Wejmana, przy Kilińskiego 19, zjeżdżali się raz w tygodniu gospodarze z okolicznych wiosek. Korzystali z jagielnika, łuszczarki do gryki oraz z gręplarki, którą obsługiwała pani Maria. Była to też doskonała okazja do załatwienia innych interesów oraz wysłuchania wszelkiego rodzaju nowin i plotek. W tym wyznaczonym dniu Niemcy nadzorowali pracę w kaszarni. Pilnowali porządku i przestrzegania zarządzeń władz.

Po całym dniu pracy Adam Wejman zamykał właśnie kaszarnię. Zamienił kilka krótkich zdań ze stojącym obok żandarmem, który czekał, żeby nałożyć plombę na kłódkę. Po chwili pożegnali się i rozeszli. Gospodarz odwrócił się jeszcze i zobaczył idącego przez podwórze Franka.

– Jak twoja noga? – zapytał.



Ciężarówka przed placem targowym. Nowy Rynek – 1940 r.

– Już dobrze, panie Wejman. Nawet już mogę skakać – Franek podszedł do gospodarza i podskoczył kilka razy, żeby udowodnić, że z nogą jest już wszystko w porządku. – Odkąd ćwiczyłem, jak mi doktor Łuczyński kazał, to w dwa miesiące już biegałem.

– To dobrze. Bo widzisz, miałbym do ciebie sprawę, jeśli masz trochę czasu?

– Dla pana, panie Adamie – zawsze. Coś trzeba pomóc? Przenieść? Wynieść? Lubię panu pomagać, bo pan się na wszystkim zna. Taka „złota rączka", jak to mówią.

– Dobrze, dobrze – powiedział, uśmiechając się, Wejman. Poklepał chłopaka po ramieniu. – Nie o to teraz chodzi. Chodźmy do domu, bo to nie sprawy dla innych – dodał ciszej, rozglądając się dookoła. – Słyszałem, że pracujesz w maglu u Pospiszyła.

– Tak – odpowiedział Franek.

– I jak? Masz coś grosza z tego?

– Jak jest robota, to mnie woła i robię, co trzeba. I mam tylko dwa kroki do pracy. Ale prawdę mówiąc, to niezbyt wiele płaci.

– Miałbym dla ciebie robotę, ale wiesz... taką... niezbyt bezpieczną. Za to zarobić możesz dużo więcej, niż czyjeś zagniotki prostując – spojrzał w oczy chłopaka, czekając na reakcję.

Franek otworzył usta, chcąc o coś spytać, ale Wejman uprzedził go.

– Już rozmawiałem z twoimi rodzicami. Ojciec powiedział, że jesteś dorosły i to ty decydujesz. A mama, jak to mama. Każda matka boi się o swoje dziecko.

– Pewnie o szmugiel chodzi?

– No, tak. Wiesz przecież, że to teraz intratny interes. Mam trochę układów i kontaktów. Wszyscy na tym skorzystają.

– Panie Adamie. Nareszcie mógłbym robić coś konkretnego. Ojca wzięli Niemcy do roboty do murarki, Kaśka u Recława szyje, a ja tylko tą kolbą kręcę. Kiedy mogę zacząć? – zapytał zniecierpliwiony.

– Najpierw musiałbyś dobrze poznać drogę. Przeszedłbyś ze dwa, trzy razy. Może jakieś znaki byś zrobił w sobie tylko znanych miejscach. Takie w rodzaju: jakiś konar złamany, czy stos z gałęzi. Ważne, żebyś mógł w nocy rozpoznać. Przez rzekę nie będziesz musiał przechodzić, bo w Mzurkach będziesz miał przekupionego granicznika. Jednak ryzyko jest i nie należy grać chojraka.

– Co będę nosił?

– Na początek – cukier.

– Trochę będzie ważyło – zauważył chłopak.

– Ile będziesz mógł zmieścić w plecaku, to weźmiesz. Zresztą na te pierwsze kilometry przed granicą to skombinuj sobie jakiś wózek. Z powrotem będziesz miał lżej, bo przyniesiesz papierosy. Adres ci powiem. Zapamiętasz go sobie. Mapę też dostaniesz.

– A skąd pan ma cukier?

Wejman uśmiechnął się.

– Tobie Franek mogę powiedzieć. Bo to widzisz... ma go Niemiec – Glezer, ten piekarz, co naprzeciwko piekarnię ma. On wynajął u mnie te pomieszczenia na dole z wejściem od ulicy.

Tam zrobił magazyn mąki. No i wyliczył sobie, że obaj możemy zarobić, bo jak do mnie, czy do magla przyjadą, to im sprzedam mąkę. Pieniążki pójdą do niego. Mąkę zaniosą też do niego, bo tam dostaną za to chleb. Dodatkowo, po za tym, co jest na kartki. No, bo ile jest tego chleba z kartek? Teraz z kolei wymyślił, że na cukrze też można zarobić.

Franek zamyślił się chwilę.

– Chcesz o coś spytać?

– Kiedy mam iść z towarem?

– Dzisiaj mamy środę, to… – pan Adam policzył na palcach, pomruczał pod nosem – we wtorek na noc. Za tydzień. Przygotuj się tak, jak mówiłem.

Franek wyciągnął rękę i podał Wejmanowi.

– Nie zawiode pana, panie Adamie. Dam sobie rade.

– Nie wątpię – odpowiedział mężczyzna. – Zawsze był z ciebie sprytny chłopak.



Mapka okolic Zelowa.

Wacław Hilary Guderski



Zbliżało się lato. Inne niż ubiegłego roku. Dla wielu dzieci nie było ostatniego, radosnego dzwonka przed wakacjami. Wiele rodzin przeżywało dramat rozstania z bliskimi. Wielu rodzin już w ogóle nie było. Ich miejsce zajmowali nowi ludzie. Ale obok tragedii powodowanych wojną, życie płynęło własnym, przystosowanym do nowej codzienności rytmem. Ludzie kochali się i pobierali, kłócili i godzili, płakali i śmiali się. Jedni się rodzili – inni umierali…

– Nie przeszkadzam? – powiedziała Teresa Szkudlarek, wchodząc do Wejmanów.

– Chodź, chodź. Właśnie myślałam, co zrobić na obiad – odpowiedziała gospodyni.

– Jaki gorąc dzisiaj… Muszę trochę odsapnąć i nowiny mam – usiadła przy stole i ocierała spocone czoło chusteczką.

– Co prawda, to prawda. W tym roku czerwiec daje się we znaki, już drugi tydzień tak piecze. Ale, ale! Co to za nowiny? – spytała Wejmanowa.

– Wracam właśnie z Rynku. Zakupy robiłam, bo to widzisz Franek ma urodziny i chciałam jakiś lepszy obiad zrobić. Przed sklepem spotkałam moją dawną sąsiadkę Wróblewską. Najlepsze źródło informacji w całym Zelowie.

– Ba! Pewnie i w całej gminie – dodała, uśmiechając się Wejmanowa.

– W nocy zmarł Guderski Wacław, ten co miał zakład stolarski przy Rynku, też mój były sąsiad, z naprzeciwka. Wiedziałam, że to był ważny człowiek, ale dopiero Wróblewska mi wszystko opowiedziała.

Gospodyni usiadła obok przyjaciółki i spojrzała na nią z zaciekawieniem, a Szkudlarkowa kontynuowała:

– Wyobraź sobie, Marysiu, że on był pierwszym, po odzyskaniu niepodległości, wójtem w naszej gminie. Rządził Zelowem przez osiem lat. Teraz też się udzielał i pomagał ludziom różne sprawy załatwiać. Nawet dostał za to od premiera Składkowskiego Sławoja Brązowy Krzyż Zasługi.

Wejmanowa pokiwała głową.

– Dobrzy ludzie zawsze szybko umierają. Ale on podobno chorował ostatnio?

– No tak, dostał tej choroby, jak zaczęli wywozić Żydów. Nie mógł się z tym pogodzić, bo znał i przyjaźnił się z nimi. Zresztą też jego sąsiedzi. Chaim Liberman i syn Lewiego to przecież obok mieszkali. Liberman to już w grudniu pojechał na roboty, ale jak na początku roku zabrali Lewiego z rodziną... Wróblewska mówi, że Guderski widział, jak ich wyprowadzali – jego, żonę i dwie córeczki. Jedna niosła lalkę, a druga wózek z lalką prowadziła. Niemcy najpierw wyrzucili te zabawki, a później dzieci na samochód wrzucili. Jeden Hitlerowiec złapał za nogi, drugi za głowę i jak worek kartofli na kipę...

No i jak Guderski wrócił do domu, to krew mu na mózg się wylała i do tej pory tak leżał – złapała oddech i mówiła dalej: – Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy. Kiedyś Szwaby odpowiedzą za te zbrodnie, za nieludzkie traktowanie innych. Przecież Żydzi to też ludzie, a co oni z nimi wyrabiają. Żyliśmy tu sobie wszyscy razem i nie było tego, że Żyd, Polak, Czech, czy Niemiec. Owszem bywały niesnaski, jak to między sąsiadami, ale nie dlatego, że ktoś trochę inaczej w Boga wierzył. A teraz wzbudzają w ludziach podłość i nienawiść. Nastawiają przeciw sobie. Specjalnie to robią. Podjudzają ludzi, byleby tylko ludzkie ułomności na wierzch wyciągnąć: zazdrość, pychę, chęć zemsty. Byleby oszukać, okłamać, oczernić bliźniego. Własnej w tym upatrują korzyści. Tak im łatwiej rządzić będzie.

– Masz rację, Tereniu. Ta wojna wszystko zmieniła. Tylko modlitwa została. Oby Pan Bóg odmienił.


Rzeczpospolita Polska

K Z

NADAJĘ

BRĄZOWY KRZYŻ ZASŁUGI

PO RAZ PIERWSZY

Zaświadczenie o nadaniu odznaczenia państwowego.

Wieść o śmierci tak znanego obywatela Zelowa szybko się rozeszła. Przekazywana z ust do ust wiadomość obiegła całą osadę lotem błyskawicy. Listonosz, po otrzymaniu drobnego wynagrodzenia, roznosił ją po okolicznych wioskach.



Zarząd gminy Zelów 1919 – 1927. *Wójt – Wacław Guderski. Sekretarz: J. Petrykowski. Radni: J. Bartkiewicz, P. Jersak, E. Zatorski, F. Kropidłowski, J. Pajchert, J. Ławniczak, A. Guderski, S. Michalak, P. Szpryngel, E. Kiebernik. Starszy Pomocnik: K. Gapik. Młodszy Pomocnik: S. Wysocki. Woźny: K. Kupec. Komendant Policji: J. Kubke.*

Podczas żałobnej mszy świętej w kościele brakowało miejsca. Wielu ludzi chciało pożegnać dobrego i uczciwego człowieka, towarzyszyć mu w jego ostatniej drodze. Za karawanem, na którym wisiała tabliczka z napisem: „Wacław Hilary Guderski – wójt Gminy Zelów – 1919 – 1927" ustawił się kondukt żałobny – tłum ludzi, który znał i kochał zmarłego. Niemcy wpadli w panikę. Obawiali się, że tak liczne zgromadzenie może być przyczyną manifestacji i nawoływań do walki przeciw okupantowi. Ludzi było tak wielu, że z łatwością mogliby doprowadzić do rozruchów. Podjęli więc działania prewencyjne. Na każdym skrzyżowaniu w drodze na cmentarz katolicki ustawili motocykl z żandarmami i karabinem maszynowym, a wzdłuż ulicy Kilińskiego policję porządkową i żołnierzy. Nie odważyli się jednak na nic więcej.

Berger

Niemieccy okupanci czuli się, jak u siebie. Czuli się w Polsce panami i władcami. Ideologia nazistowskich Niemiec jednoznacznie wskazywała, że rasa nordycka, to rasa panów. Hitler wmówił im, że stoją na szczycie hierarchii rasowej, a na jej dnie są Żydzi.

Tak właśnie rozumował i działał Johanes Berger – Amtskommissar Zelowa. Człowiek o niewielkim wzroście, łysy, z przenikliwymi, rozbieganymi oczami filtrującymi wszystko i wszystkich dokoła zza okrągłych szkieł okularów. Był łasy na komplementy. Lubił, kiedy mu nadskakiwano. Podczas napadów złości pluł i kopał. Szczególnie, kiedy ktoś przechodząc obok niego nie zdjął czapki i nie ukłonił się nisko. Wtedy nakazywał, aby „zapominalski" wrócił się, poszukał na ulicy końskiego łajna, włożył do czapki i nałożył ją na głowę. Nienawidził Żydów. Tych traktował szczególnie okrutnie.



W środku Johannes Berger – komisarz Zelowa.

Berger wyszedł ze swojej kwatery zaraz po śniadaniu i skierował się w stronę pobliskiego urzędu gminy. Szedł powoli, trzymając w ręce zawinięte w papierową tytkę cukierki.

Zjadał je ostentacyjnie – jednego za drugim. Obok jego nogi posłusznie szedł ukochany pies – Rex. Na jego widok biegające po Rynku dzieci, przestały się bawić i przełykając ślinę przyglądały się z daleka. W pewnej chwili Berger zatrzymał się i potrząsając torebką odezwał się łamaną polszczyzną.

– Chcecie?

Pierwszy podszedł do niego siedmioletni Stasiu. Wyciągnął rękę, ale po chwili ją cofnął. Niemiec ponownie potrząsnął tytką dla zachęty.

– Weź. Nie bój się.

Pokusa była większa, niż strach. Chłopiec chwycił cukierka i dał drapaka. Widząc to, pozostałe dzieci, zaczęły podchodzić po kolei i częstować się łakociami. Mężczyzna uśmiechał się dobrotliwie. Nagle machnął torebką i słodycze poleciały wysoko w górę, a spadając rozsypały się dookoła. Dzieciaki rzuciły się na łatwą zdobycz. Berger zaczął się pogardliwie śmiać. W pewnej chwili z pobliskiej bramy wybiegł pięcioletni Abramek, synek Michała Łaznowskiego. Podniósł cukierka i sięgnął po następnego. Nagle twarz Niemca zmieniła się nie do poznania. Stężała, zrobiła się czerwona i groźna.

– Rex! – wrzasnął Berger. – Bierz go!

Pies rzucił się na dziecko. Chwycił ostrymi kłami za rękę, którą chłopczyk osłonił twarz. Zaczął nią szarpać w prawo i w lewo tak mocno, że całe drobne ciało chłopca obracało się razem z ruchami głowy wilczura. Przeraźliwy krzyk rozniósł się echem po całym Rynku. Krew tryskała dookoła. Pozostałe dzieci uciekły z płaczem. Przerażeni dorośli, przypadkowi świadkowie zajścia, stali i przyglądali się bezradnie. Rozjuszone zwierzę ciągle jeszcze szarpało ubranie chłopca, ale mały Abramek już nie krzyczał.

– Do nogi! – zakomenderował „pan".

Rex posłusznie wykonał polecenie. Odeszli, pozostawiając dziecko w kałuży krwi.

Trudna sytuacja

W połowie 1940 roku w Zelowie było już około 4500 Żydów. Schronienie znaleźli tu mieszkańcy okolicznych miast i miasteczek: Szczercowa, Działoszyna, Widawy, Wielunia, a nawet Łodzi. Wszystkich trzeba było gdzieś ulokować, wyżywić, zapewnić im opiekę. Prezes Judenratu – Mayer dwoił się i troił, by jak najlepiej rozwiązać problemy. Słał listy za granicę, między innymi do Amerykańsko–Żydowskiego Połączonego Komitetu Rodzielczego, tzw. Jointa – organizacji zajmującej się pomocą Żydom na całym świecie. Prosił o przysłanie gotówki, odzieży i lekarstw. W odpowiedzi uzyskał tylko informację, że działalność organizacji nie dotyczy terenu III Rzeszy Niemieckiej, a więc i Kraju Warty, w którym obecnie znajduje się osada Zelów.

W działającym od wiosny szpitalu, prowadzonym przez żydowskiego lekarza, doktora Rotensztreicha, brakowało miejsca i lekarstw. Utworzona przy nim kuchnia nie mogła zapewnić wyżywienia ze względu na zbyt dużą liczbę podopiecznych. Zapasy żywności były na wyczerpaniu. Brakowało też ciepłych ubrań i opału na zbliżającą się zimę.

Zelowscy Żydzi znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Wszystkie zamieszkałe przez nich miejsca były stopniowo izolowane od terenów zamieszkałych przez pozostałych mieszkańców osady. Za pośrednictwem Żydów i Polaków Niemcy odgradzali je wysokim, drewnianym płotem. Często granicę tę stanowiły mury kamienic, a barierą psychologiczną był zakaz poruszania się w miejscach publicznych. Każdy Niemiec, każdy żandarm mógł strzelać do tych, którzy nie stosowali się do tego zarządzenia. Żydzi przemieszczali się, przechodząc przez podwórka i płoty, między komórkami i po dachach. Wybijali też otwory w ścianach mieszkań sąsiadujących ze sobą domów. Przejście przez ulicę mogło skończyć się pobiciem, aresztowaniem lub nawet śmiercią.

Koziołki

Aresztowania zdarzały się coraz częściej. Niemcy przesiedlali Żydów do Generalnej Guberni, kierowali do więzień i obozów pracy. Działania te stanowiły doskonałą okazję do splądrowania domu i zabrania najcenniejszych rzeczy. Bogatsi Żydzi sami próbowali wykupić się od deportacji lub przekwaterowania w inne wskazane przez władze miejsce. Jednak nie każda rodzina dysponowała odpowiednimi, zadawalającymi żandarmów środkami. Tych traktowali, jak zwierzęta. Bili i poniżali.

– Zobacz, co się dzieje! – powiedziała przerażona Maria Wejman.

Pan Adam zerwał się z krzesła i skoczył naprzeciw wbiegającej do domu żony.

– Co się stało? – spytał.

Żona przebiegła obok niego.

– Chodź do magazynu. Na ulicę musimy wyjrzeć.

Przeszli do pomieszczenia znajdującego się od strony ulicy, w którym stały worki z mąką. Ostrożnie wyjrzeli przez okno. Po drugiej stronie stała niemiecka ciężarówka. Kilku uzbrojonych żołnierzy obstawiało teren.

– Do Koziołków weszli – wyszeptała pani Maria.

Po chwili w domu żydowskiej rodziny Koziołków otworzyło się okno i na ulicę zaczęły wylatywać ubrania, sprzęty domowego użytku, a nawet niektóre większe meble. Zaraz potem w furtce pojawili się żandarmi. Prowadzili Jankiela Koziołka. Miał poszarpane ubranie, krzywo obciętą, poszarpaną brodę i potargane włosy. Niemiec, który szedł za nim, uderzał go co jakiś czas kolbą karabinu pod kolana. Mężczyzna padał na twarz, podnosił się, dawał dwa, trzy kroki i znów padał po uderzeniu. Po kolejnym upadku nie miał już sił, aby powstać. Za nim, zawodząc głośno, szła jego żona – Rojza. Hitlerowcy nakazali siedzącym w cięża-

rówce Żydom, aby pomogli wsiąść aresztowanym. Później odjechali.

Wejmanowa odeszła od okna ze łzami w oczach. Wejman stał długo i patrzył przed siebie – niby to na dom Koziołków, niby na ulicę.

– O Boże, a co z ich synową? Co z Łają? – Maria przypomniała sobie o synowej aresztowanych sąsiadów. – Pójdę zobaczyć – dodała.

– Nie chodź. Nie teraz. Może tam który został – odpowiedział jej mąż. – Powiem jej bratu. Pewnie nic nie wie, bo jego okienko na podwórko wychodzi.

Gospodarz wszedł po schodach i skierował się do małego mieszkanka na poddaszu, które zajmował Herszlik Posalski, lokator domu państwa Wejmanów, żeby przekazać wiadomość o tragedii, która spotkała rodzinę Koziołków.

Gdy zapadł zmierzch, pani Maria postanowiła sprawdzić, co się stało z sąsiadką.

– To lepiej już ja pójdę – powiedział Wejman, patrząc na żonę, która drżącymi rękami próbowała zapiąć guziki kapoty.

Chciała odpowiedzieć, ale drzwi otworzyły się i weszła okryta chustą Koziołkowa.

– Pani Wejmanowa! Droga, kochana! – zaczęła od progu mówić i płakać na zmianę. – Aj! Aj! Pani Wejmanowa! – rozpłakała się na dobre i objęła sąsiadkę w pół. – Pomóżcie sąsiady kochane. Taka bieda, taka bieda. Zabrali moich teściów. Zabrali. Pobili. Zabiją ich pewnie – szlochała.

Gospodyni wprowadziła ją dalej do mieszkania.

– Widzieliśmy, co się stało – odezwał się Wejman. – Ale, że ciebie nie zabrali?

– Akurat ja byłam po drewno w komórce, kiedy te Szkopy przyszły. Patrzyłam przez szparę, jak ich prowadzili, a potem wlazłam na drewno, nakryłam się patykami i tak siedziałam cicho, aż do teraz.

Maria spojrzała na męża.

– Przecież jej nie wydamy tym gestapowcom. Z domu też nie wyrzucimy.

Wejman odetchnął głęboko.

– Nie po chrześcijańsku by było. Dobrze, że Zdziechowskiego puścili i się wyprowadzili, to mamy gdzie ją ukryć, ale...

– Daj jej coś zjeść i niech siedzi tu gdzie mąka. Tylko, że muszę coś wymyślić, bo przecież wiecznie tak nie można i w końcu ich znajdą. Wtedy to... – machnął ręką. – Lepiej nie mówić...

Następnego dnia, jak co środę, zjechali się okoliczni gospodarze do kaszarni. Mimo zimnego dnia Wejman od samego rana miał mnóstwo pracy. Gospodyni zajęła się swoimi domowymi obowiązkami, a dzieci miały swoje sprawy w pokoju obok.

– Mogę się ogrzać? – spytała Koziołkowa, wchodząc do kuchni.

– Chodź, Łaja. Przy piecu stań. Zrobię ci herbatę i kromkę chleba ze smalcem. Herszlikowi też zaniesiesz.

– Co to z nami będzie Wejmanowa? Co będzie?

– Posiedzicie u nas, póki mąż jakich papierów dla was nie wynajdzie.

– Dobrzy z was ludzie, pani Wejmanowa. Najwyższemu za takich sąsiadów dziękować.

Maria spojrzała na kobietę stojącą przy piecu obok drzwi i kątem oka dojrzała przez okno zbliżającego się od strony podwórza żandarma, który przychodził czasem do domu, aby się ogrzać. Nie zastanawiała się długo. Otworzyła drzwi do korytarza, zastawiając piec i Żydówkę.

– Siedź cicho! – rzuciła krótko.

Szeroko otworzyła okno. Złapała pierzynę i ruszyła do wyjścia. W korytarzu natchnęła się na wchodzącego Niemca.

– Przewietrzyć trzeba – powiedziała z uśmiechem i pchała się na podwórze.

Żandarm nie odpowiedział. Odwrócił się i odszedł w stronę kaszarni.

Rudolf Dalke

Ponad rok minął pod niemiecką okupacją. Był to czas wielkich zmian w życiu wielu ludzi. Czas wytężonej pracy i troski o kraj i najbliższe osoby. Dopiero podczas długich jesiennych wieczorów ludzie mogli odpocząć i porozmawiać. Schodzili się więc sąsiedzi i znajomi. Pili herbatę, piwo i mocniejsze trunki. Mężczyźni rozmawiali przeważnie o polityce. Kobiety o tym, gdzie można dostać coś do jedzenia, gdzie kupić lub przeszmuglować słoninę, cukier. Jednak nawet podczas takich spotkań trzeba było uważać do kogo i co się mówi oraz rozstać się przed godziną policyjną.

Jesienny, zimny deszcz siąpił nieustannie. Na dworze było przenikliwie zimno, ale w mieszkaniu państwa Figurów palący się w piecu torf, skwiercząc radośnie, roznosił po izbie miłe, przyjemnie ciepło. Przy stole siedziało kilku mężczyzn. Rozmawiali. Gospodyni siedziała razem z nimi.

– Otwórzcie – rozległo się tuż za oknem jednocześnie z głośnym pukaniem w szybę.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Pani Marianna przeżegnała się i spojrzała na męża. Figura delikatnie dotknął jej ręki, po czym bez słowa wstał i poszedł otworzyć drzwi. Do pomieszczenia wszedł Dalke.

– Można? – spytał.

– Siadaj, Rudek.

Pan Adam zaprosił znajomego Niemca do środka.

– Ale się wystraszyłam – Figurowa złapała głębszy oddech.

– A, co? Macie coś na sumieniu? – spytał gość wieszając przy wejściu przemoczony płaszcz.

– No, wiesz, takie czasy, że nie wiadomo kogo licho przyniesie. Zwłaszcza przy takiej pogodzie – odpowiedział Adam.

– Słyszałem, słyszałem. O duchach opowiadaliście to teraz macie stracha – zaśmiał się Niemiec.

Figura spojrzał na znajomego.

– Podsłuchiwałeś pod oknem?

– Nie tylko ja. Macie szczęście, że akurat o duchach mówiliście, bo bym was nie wybronił – spojrzeli na niego, czekając, co powie dalej.

– Z godzinkę będzie, jak przyszedł do mnie ten rudy Krenz. Ten, co po sąsiedzku ze mną mieszka i ma drewnianą nogę. Z żandarmem przyszedł. Mówił, że u Figurów zebrało się kilka osób i o polityce rozprawiają. Chcieli, żebym z nimi poszedł i na gorącym was przyłapał. No to staliśmy jakiś czas, pod waszym oknem i słuchaliśmy, o czym tak dyskutujecie. Wtedy właśnie o tych duchach mówiliście. Chcieli dłużej czekać, ale mówię im – przecież słyszycie, że o „dupie Maryny" gadają, a nie o polityce, żeby dali spokój, bo Figura to porządny chłop i znam go od dziecka. No i dali spokój, ale na przyszłość, uważajcie. Zwłaszcza na tego rudzielca.

– Dziękuję – Adam spojrzał na Dalkego. – Człowiek nie może być pewny i bezpieczny nawet we własnym mieszkaniu.

– Daj spokój – odpowiedział Dalke. – Ile to już lat się znamy? Ile to razy w skórę od ojców dostaliśmy za te hece, co je razem robiliśmy? Dajcie coś lepiej na rozgrzewkę, bo zmarzłem pod tym oknem, jak licho.

Pani Marianna rozdała kieliszki i wstawiła wodę do zagotowania.

– Herbaty zrobię, ale cukru brakło.

– To nic, może być bez – machnął ręką i zwrócił się do siedzącego obok Adama Wejmana.

– A ty, to nawet ciekawie opowiadasz. Tylko dobrze nie usłyszałem. Gdzie to tak straszy?

– U mnie w domu – odpowiedział, nie wdając się w szczegóły, pan Adam.

– A z jakiej to przyczyny? – dociekał Niemiec.

Mężczyzna odchrząknął i dodał:

– No, bo w tym domu kiedyś był sąd. Jeszcze przed Wielką Wojną. Sędzią był Karol Pospiszył. Ludzi tam przesłuchiwał. Złodziejów i morderców na śmierć wysyłał. Sporo grzesznych dusz teraz tam się błąka.

– Ja tam w duchy nie wierzę, ale ciekawa, nieznana mi historia. No, ale teraz nową piszemy. Przetrwa tysiące lat.

Siedzący dotąd cicho Józef Rogut, właściciel piekarni przy Sienkiewicza, uśmiechnął się lekko pod nosem. Nie pozostało to niezauważone przez Niemca. Wstał raptownie i podparł się oburącz na blacie stołu.

– A tobie Rogut, co tak wesoło? – powiedział podniesionym głosem.

Pan Józef wstał bez słowa i zaczął się zbierać do wyjścia.

– Powiedz! Co ciebie tak śmieszy? Może powiesz, że nie mam racji? Po mandaciku zejdzie ci ten uśmieszek z twarzy.

– Bo nie masz! – nie wytrzymał Józek. – Sam siebie posłuchaj. Przecież to śmieszne, co mówisz. A twoje mandaciki mam w dupie. Tak jak i ciebie i waszą tysiącletnią Rzeszę – wyszedł szybko i trzasnął drzwiami.

Zrobiło się zupełnie cicho. Wszyscy zamarli i czekali, co się stanie. Po chwili gospodarz ocknął się i postawił przed Niemcem kieliszek.

– Napijmy się sznapsika – nalał bimbru wzburzonemu Niemcowi.

– Daj spokój. Wiesz przecież, jaki on jest. Zresztą zawsze był z niego nerwus. Gada, co mu ślina na język przyniesie, a przecież tak nie myśli.

Dalke wypił i usiadł. Odezwał się dopiero, kiedy ochłonął.

– Ważnego udaje. Ja mu jeszcze pokażę, kto tu jest ważniejszy – po chwili wstał. – Idę. Nerwy mi zepsuł. Może na powietrzu ochłonę.

Po ich wyjściu pan Adam próbował uspokoić pozostałych.

– Nic mu nie zrobi. Porozmawiam z nim jutro. Najwyżej mandatem to się skończy.

– Ja też idę – powiedział Wejman. – Tylko, że właściwie to przyszedłem do ciebie z jedną, ważną sprawą, ale nie chciałem przy Józku.

– No, mów. O co chodzi? – Wejman podszedł do okna i rozejrzał się.

Deszcz ciągle padał, a wiatr targał na wszystkie strony ledwie widocznym w ciemnościach, rosnącym opodal bzem.

– Bo widzisz. Potrzebuję pewnego dojścia do ludzi, którzy pracują w Gminie. W naszej, czy w innej. Do urzędników. Rozumiesz?

Figura w mig załapał, o co chodzi.

– Ja się w takie rzeczy nie bawię. Nie bawię się i nie chcę. Widzisz, co się dzieje? Byle „kulos" pod oknem stanie i już problem. A on na mnie zawzięty. Jeszcze sprzed wojny. Tylko nie wiem, o co. Zresztą nie ważne, co sobie ubzdurał. Dość, że muszę się pilnować.

– Nie przejmuj się – Wejman podał gospodarzowi rękę na pożegnanie. – Doskonale to rozumiem. Tylko… rozmowy nie było – zaznaczył.

– Jasne! Adaś! Za kogo ty mnie masz!

Pani Marianna odprowadziła gościa do drzwi. Nachyliła się i szepnęła mu do ucha:

– Ja ci pomogę. Tylko na razie – sza!

***

Padający od kilku dni deszcz ustał i w nocy przyszedł lekki mróz. Zmroził kałuże, okrył warstwą lodu gałęzie drzew, ściany domów i ziemię. Marianna Figura postanowiła jednak, że jest to odpowiednia pora, aby wybrać się na cmentarz. Właśnie wtedy, gdy jak przypuszczała, nikt jej tam nie zobaczy. Przeszła kilkoma alejkami. Później pomiędzy nagrobkami. Co jakiś czas przystawała i notowała coś na kartce. Nagle wiatr poruszył mocniej, pozbawionymi liści gałązkami wysokich brzóz, rosnących wokół

grobów. Rozejrzała się ostrożnie dookoła i schowała karteczkę do kieszeni, po czym pośpiesznie wyszła z cmentarza. Szła do kościoła. Do proboszcza Zycha. Zastała go w zakrystii.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków – odpowiedział ksiądz, a widząc, kto przyszedł i domyślając się w jakiej sprawie, zamknął za nią drzwi. – Lepiej, żeby te sprawy nie wyszły poza te mury. Niebezpieczne czasy nastały. Trzeba się pilnować, ale kiedy tylu ludzi w potrzebie, to naszym świętym obowiązkiem, jako chrześcijan i katolików jest niesienie pomocy drugiemu człowiekowi – dodał.

Po krótkiej rozmowie z proboszczem, Figurowa wstąpiła do Wejmanów.

– Dzień dobry Marysiu – powiedziała, wchodząc.

– Dzień dobry. Nie spodziewałam się nikogo w taką pogodę, a cóż dopiero ciebie – odpowiedziała gospodyni. – Masz taki kawał drogi. Chyba, że coś ważnego?

– Nie, nie. Byłam w kościele i pomyślałam, że was odwiedzę.

– Siadaj.

Usiadła na krześle zaraz przy wyjściu.

– A twojego, to nie ma? Bo ja właściwie to tylko na chwilkę. Obiad trzeba robić.

– Maria spojrzała na gościa ze zdziwieniem.

– Chyba jest w kaszarni... Coś tam naprawia.

– To dzisiaj otwarte? Przecież jutro środa.

– No, co ty? Gospodarz to zawsze znajdzie sposób, żeby się dostać do swojego – uśmiechnęła się wesoło.

– To lecę. Tylko słówko mu chciałam przekazać od mojego Adama – skłamała.

Pożegnała się i wyszła. Natknęła się na gospodarza na podwórku.

– A, cóż to cię sprowadza w takie licho? – spytał bez powitania.

– Dzień dobry, Adamie. Powiedziałam, że załatwię tę sprawę, to załatwię. Ja słów na wiatr nie rzucam. Tylko ile ma tego być i dla kogo? Dla mężczyzny? Czy dla kobiety? I w jakim wieku? I rysopis potrzebny – szepnęła mu do ucha.

Wejman w lot domyślił się, o czym mowa. Pociągnął ją za rękę i weszli do kaszarni.

– Dla kobiety i mężczyzny – powiedział i podał dane, które Figurowa dokładnie zanotowała.

– Już rozmawiałam z księdzem Zychem. Teraz tylko metryki wyszuka i dam je mojemu znajomemu. Tobie mogę powiedzieć. Łakomy się nazywa. Z Jamów. W gminie w Buczku pracuje i ma dostęp do takich druków. Później Władek Kubik, co obok nas na Kościuszki mieszka, zrobi resztę.

– Ten, co na nogę utyka? – spytał trochę zdziwiony

– Ten sam.

– Tylko proszę cię, bądź ostrożna – dodał.

– Nie trzeba mi tego mówić. Nawet mój mąż nie za wiele wie.

– A ile to będzie kosztowało?

– Oni pieniędzy nie chcą. Chcą po prostu pomóc ludziom. Czy to Polak, Żyd, czy jakiś inny, toż to przecież człowiek. Przecież my też nie dla pieniędzy to robimy. Dam im trochę jajek, albo kurę z podziękowaniem.

Wejman spojrzał na kobietę i dodał:

– A swoją drogą, to trzeba mieć zdolności, żeby taki dokument tak podrobić, żeby nikt się nie poznał.

– Ty wiesz, jak on to robi? – odpowiedziała Marianna. – Pokazywał mi, jak pieczątkę podrobić. Na gotowanym jajku odbijał.

– Nigdy bym na to nie wpadł – odrzekł z podziwem Wejman.

– Dokumenty będą za kilka dni. Przyniosę.

Pożegnała się i wyszła z kaszarni, tak jak weszła – przez okno.

W niedzielne południe Figurowa przyszła do Wejmanów razem z mężem. Na herbatkę, jak to określiła i na kielonka, jak twierdził jej mąż. Posiedzieli, pożartowali, pograli w karty. Na

odchodnym pani Marianna wyjęła z torebki niewielkie zawiniątko i położyła je w korytarzu na blacie szafki. Przykryła leżącą obok kapotą.

– Masz tu, co trzeba. Wszystko załatwione – powiedziała do odprowadzającego ich gospodarza i dodała ciszej: – Teraz twoja kolej.

Figurowie wracali do domu w dobrych humorach. Niestety czekała ich niemiła niespodzianka. W mieszkaniu byli żandarmi.

– Marianna Figura? – zapytał gruby Niemiec w czarnym, długim płaszczu. – Pójdziesz z nami!

Dwóch szwabów wyprowadziło struchlałą ze strachu kobietę. Na szczęście męża i dzieci zostawili w spokoju. Adam Figura usiadł na brzegu łóżka. Blady i przerażony próbował się uspokoić. Zastanawiał się, co w danej chwili może zrobić. Jak pomóc żonie. W końcu zawołał syna.

– Jeszcze jest trochę czasu do godziny policyjnej. Zdążysz pobiec do Wejmanów?

Przerażony chłopak skinął głową.

– To biegnij i powiedz, że Niemcy mamę aresztowali.

Krzyknął jeszcze za nim.

– Kostek! Tylko Żeromskiego, nie przez Rynek!

Wejman zbladł po informacji, jaką otrzymał. Zaczął się zastanawiać. Był przekonany, że sprawa dotyczy również jego i jest tylko kwestią czasu, kiedy przyjdą go aresztować.

– Nie jest dobrze – powiedział do żony.

Maria usiadła przerażona obok niego.

– Marianna nic nie powie – odezwała się po chwili.

– Powie, czy nie powie. Może już bez niej wiedzą? Musimy działać. Wołaj mi tu Jankę. Niech idzie do Franka i powie, że mam ważną sprawę i niech tu natychmiast przyjdzie. Ty z dziećmi pakujcie się i pójdziecie do twojej siostry.

Zamyślił się, a po chwili przedstawił dalszy plan działania.

– Ja pójdę na noc do kaszarni...

Przerwał mu Franek, który wpadł do kuchni Wejmanów, jakby się paliło.

– Słuchaj, bo to niezwykle ważne, co teraz powiem – rzekł do chłopaka, sadzając go na krześle na wprost siebie. – Jeszcze dzisiaj w nocy przeprowadzisz dwie osoby. Nie czekamy do wtorku na tego przekupionego Niemca. Więc pójdziecie przez rzekę. Papiery są gotowe. W Piotrkowie zajdziesz pod ten adres – podał Frankowi kartkę. – Zapamiętaj i spal. Tam powiesz, że wszystko załatwione, tak jak to było uzgodnione. Teraz idź i się przygotuj. Za piętnaście minut wychodzicie.

Franek pognał do domu, a Wejman zwrócił się do żony.

– Idę im powiedzieć, a wy uważajcie na siebie.

– Może jakieś kanapki im zrobię na drogę? – spytała Maria.

– Teraz martw się o siebie i o dzieci. Ile było można, to pomogliśmy. U nas koszernego nie mieli, ale głodni też nie chodzili i nie narzekali, bo jak to mawia Wyrąbkiewiczowa: „Czy kłak, czy wełna byleby kicha była pełna".

Areszt

Pani Marianna trafiła do aresztu, który znajdował się w podwórku przejętego przez Niemców domu państwa Pejgów. Całą noc nie spała. Rano, zmarznięta i wystraszona kobieta została wezwana na przesłuchanie. Posadzili ją na taborecie naprzeciw biurka, za którym usiadł Wachtmeister Otto.

– Pewnie wiesz, dlaczego tu trafiłaś? – spytał spokojnie Niemiec.

Figurowa nie odpowiedziała.

– Zadałem ci pytanie – powtórzył równie łagodnie.

Kobieta siedziała z opuszczoną głową.

– Aufstehen! – ryknął nagle, aż podskoczyła ze strachu.

Po chwili powoli wstała. Żandarm opanował wzburzenie i kontynuował przesłuchanie.

– Wyjaśnię ci to tylko raz. Albo będziesz współpracować i powiesz wszystko, co wiesz, albo pożałujesz, że się urodziłaś?



Członek nazistowskiej partii politycznej – NSDAP – oddział w Zelowie.

Rozumiesz? Podsunął jej pod brodę krótki pejcz i spojrzał prosto w twarz.

Kobieta skinęła głową na znak, że zrozumiała.

– No, to teraz porozmawiamy.

– Znasz niejakiego Jana Figurę?

Pani Marianna spojrzała na Niemca. Zrozumiała, że zatrzymali ją zupełnie z innej przyczyny. „W takim razie o tamtych sprawach nic nie wiedzą" – pomyślała i nawet trochę jej ulżyło.

Niemiec mówił dalej.

– Został za nim rozesłany list gończy. Uciekł z więzienia w Breslau, gdzie siedział za niesubordynację i krnąbrność w majątku… – spojrzał w dokumenty leżące na biurku – w Miltzow, powiat Vorpommern-Rügen. Pytam ponownie: Znasz Jana Figurę?

– To mój najmłodszy syn – wyszeptała kobieta.

– Kiedy widziałaś go ostatni raz?

– Wiosną. Jak go w niedzielę od obiadu zabraliście i wywieźliście na roboty do Niemiec.

– Kłamiesz! – krzyknął.

Kobieta spojrzała na Niemca.

– Widziałam go przez chwilę kilka dni temu. Na drodze do Weronki, gdzie byliśmy u mojej matki. Wyszedł nam naprzeciw, kiedy wracaliśmy do domu. Powiedział tylko, że musi uciekać. Pożegnał się i tyle go widzieliśmy.

– Gdzie miał uciekać?

– Tego nie pamiętam, żeby co o tym mówił.

– Kto go ostrzegł? Kto mu pomagał?

– Tego też nie mówił.

Gestapowiec zastanowił się chwilę.

– Jak posiedzisz ze dwa tygodnie, to ci się pamięć odświeży – wezwał dyżurnego. – Odprowadzić więźnia – rozkazał.

Następnego dnia pan Adam Figura zasięgnął języka i wiedział już, że żona może mieć duże kłopoty i że to poważna sprawa. Nie zastanawiał się długo. Pojechał do Poznania, do swojej kuzynki, o której wiedział, że pracuje, jako sekretarka do kontaktów z polskim więźniami, w dużych zakładach zbrojeniowych. Dyrektorem fabryki był jeden z najważniejszych ludzi nie tylko w kraju Warty, ale i w całej Rzeszy. Kobiecie udało się podsunąć do pod-

pisu pismo nakazujące natychmiastowe zwolnienie Marianny Figury oraz oczyszczenie jej z zarzutów.

Po przyjeździe Figura natychmiast udał się do Schutzpolizei. Dyżurny wprowadził go do kancelarii.

– Czego? – spytał siedzący za biurkiem żandarm Oskar Kube.

– Twierdzi, że ma ważne pismo – wskazał na stojącego z tyłu mężczyznę.

Kube odebrał list i zaczął czytać. Po chwili stanął na baczność i dokończył już na stojąco. Potem spojrzał na interesanta z wyraźnym niezadowoleniem i podejrzliwością, a następnie zwrócił się do żandarma:

– Zwolnić więźnia.

Po 12 dniach Marianna Figura wyszła na wolność. Nie wydała syna, ale dom Figurów był pod stałą obserwacją Niemców. Rodzina nie mogła więc zapewnić mu schronienia. Z pomocą przyszła sąsiadka, żona żandarma Masslicha i jej brat Karol Jersak, ten który ostrzegł Janka. Natomiast Figurowa, znając odpowiednich ludzi w Walewicach i w Buczku w ciągu dwóch miesięcy załatwiła dla syna nowe dokumenty. Dzięki temu, pod nowym nazwiskiem – Marian Ciech, Janek dobrowolnie wyjechał na roboty do Niemiec.

Jupp Fuchs

Już w grudniu 1939 roku Niemcy przeprowadzili w Zelowie policyjny spis ludności. Na ogólną liczbę 11889 mieszkańców gminy Zelów do niemieckiego pochodzenia przyznało się 1941 osób, ale językiem niemieckim posługiwało się tylko1289. Niemiecka polityka zmierzała w kierunku powiększenia liczby obywateli Trzeciej Rzeszy poprzez przekonanie ludności zamieszkującej podbite tereny do zmiany przynależności narodowej. W tym celu opracowano i wprowadzono z dniem 3 marca 1941 roku tzw.

Deutsche Volksliste. Ludzie, którzy ją podpisywali, pochodzili głównie z rodzin, w których istniały niemieckie bądź czeskie korzenie. Podpisanie listy nie zawsze było w zgodzie z sumieniem tych ludzi czy związane z poparciem dla Niemców i ich polityki. Wiele osób było zastraszanych lub przekupywanych. Niektórzy podpisywali listę upatrując własnych korzyści, ale nader często dla ratowania zdrowia i życia członków rodziny. Tych, którzy nie posiadali niemieckich korzeni lub nie przyjęli niemieckiego obywatelstwa, traktowano jak niewolników.

Wiosna 1941 rozpoczęła się kolejnymi łapankami i aresztowaniami, zarówno wśród Żydów, jak i Polaków. Niemcy przychodzili, kiedy chcieli. Zabierali rodziców dzieciom, dzieci – rodzicom. Wywozili i rozdzielali całe rodziny. Płacz i tęsknota zagościła w wielu domach. Ludzie mieli dość tego stanu rzeczy. Złość i chęć zemsty była powszechna. Do odpowiedzialnego za aresztowania i wywózki w głąb Rzeszy kierownika Arbeitsamtu zaczęły docierać informacje o groźbach kierowanych do niego i do jego rodziny.

Jupp Fuchs, mężczyzna średniego wzrostu o sadej cerze ubrany był w czarne, skórzane spodnie, czarną skórzaną kurtkę, długie wojskowe buty i wojskową czapkę z daszkiem oraz motocyklowe gogle. Jeździł po wsiach na swoim czarnym motocyklu i łapał ludzi. Organizował łapanki na ulicach Zelowa. Coraz bardziej dawał się we znaki mieszkańcom gminy Bujny i gminy Zelów. Z gospodarstw brał co chciał: gęsi, kury, jaja. Ludzie złorzeczyli mu coraz częściej. Powziął więc pewne środki ostrożności.

Z korytarza, w którym pacjenci czekali do doktora Łuczyńskiego dobiegł hałas. Po chwili do gabinetu wtargnął ubrany w mundur NSDAP-owca, Jupp Fuchs.

– Panie doktorze – mówił po niemiecku – chciałbym, aby pokazał mi pan mieszkania na poddaszu.

– Mam pacjenta – odpowiedział również po niemiecku lekarz.

– Pan wybaczy, ale nie przywykłem czekać – powiedział Niemiec i wskazał na drzwi.

Doktor spełnił żądanie i oprowadził go po piętrze. Po krótkich, powierzchownych oględzinach Fuchs powiedział:

– Sprowadzam się do pana. Ma pan trzy dni, żeby opróżnić mieszkania i pomalować... Pana zostawiam na dole. Gdyby mi się coś stało. Nawet gdyby polscy bandyci tylko próbowali coś zrobić mnie lub mojej rodzinie, to pan za to odpowie. Pan i pana rodzina – wyjaśnił krótko i wyszedł.

Od tej pory rodzina Fuchsów czuła się u Łuczyńskich, jak we własnym domu. Korzystali ze wszystkiego, kiedy i jak chcieli. Jupp codziennie prowadził na podwórku ćwiczenia z musztry dla lokalnych Volksdeutschów. Organizował dla nich regularne szkolenia samochodowo-motocyklowe. Natomiast w części dużego, przydomowego ogrodu uczył ich strzelania na stumetrowym torze strzeleckim. Jego żona zajmowała się prowadzeniem gospodarstwa, ogródkiem i wychowaniem córki.



Ślubne zdjęcie Juppa Fuchsa. Początek lat 30. XX w.

Getto[79]

W kwietniu 1941 roku prezes zelowskiego Judenratu został zobowiązany do nałożenia na wszystkich Żydów wysokiej kontrybucji. Zachłanny komisarz Berger żądał coraz to więcej pieniędzy, złota i innych kosztowności. Pod groźbą aresztowania i osadzenia w getcie zobowiązał wszystkich Semitów do dobrowolnego oddawania swojego mienia. Tymczasem Żydom, nawet tym najbogatszym, zaczynało brakować środków na wykupienie się od przesiedlenia. Radzili sobie, jak tylko mogli. Pracowali po kryjomu w małych, rzemieślniczych warsztacikach, przemycali przez granicę artykuły żywnościowe i wyprodukowane przez nich towary, handlowali pomimo istniejących zakazów.

Rodzinie Berkowiców nie wiodło się źle. Nie narzekali na brak środków do życia. Salomon szył, Sara sprzątała, a Dawid był w Służbie Porządkowej. Nie lubił swojej nowej pracy, ale nie miał innego wyboru. Miał też, z racji wykonywanego zajęcia, dodatkowe profity. Jako policjant miał dodatkową rację żywnościową i mógł swobodnie poruszać się po Zelowie. Tłumaczył sobie, że przy tak znacznej, ciągle rosnącej liczbie ludności, zgrupowanej na tak niewielkim obszarze, prawo musi być przestrzegane, a on pilnuje porządku i ładu, przeciwdziała grabieżom i konfliktom, a pilnując przestrzegania higieny, zapobiega chorobom. Czuł się kimś ważnym i potrzebnym. Niestety musiał też pilnować przestrzegania niemieckich zarządzeń, a to nie przynosiło chluby ani jemu, ani jego rodzinie.

– Płacić, płacić – powiedział hitlerowiec Rensner – chyba, że jeszcze raz chcesz oberwać.

---

[79] *Getto – odizolowana część miasta, przeznaczona dla zamieszkania mniejszości narodowej, etnicznej, kulturowej bądź religijnej.*

Żyd otarł ręką zakrwawiony nos i bez słowa podał małą, złotą obrączkę.

– No, widzisz. Jak się z wami grzecznie pogada, to zawsze coś tam się znajdzie – Niemiec uśmiechnął się do kolegi stojącego obok.

– Z nimi to od razu trzeba tak grzecznie. Zaraz od progu. Dobrze mówię, Max? – powiedział Schwernberg, spoglądając na stojącego za nim, ubranego w czarny mundur gestapowca, Maxa Zielke.

– Zawsze tak mówiłem – żachnął się Niemiec i z pogardą splunął na Żyda.

– To idziemy dalej, panowie – Rensner pierwszy wyszedł z mieszkania.

– Chodźmy teraz do knajpy – zaproponował Zielke. – Później zobaczymy, co tam nasze Żydki uzbierali.

W sąsiednich kamienicach trwały rewizje prowadzone przez żydowskich policjantów.

– Wiesz przecież, że musimy im coś zanieść. Dawaj i bez gadania. Nie chcę za ciebie kulki dostać – powiedział do starszego, posiwiałego już Żyda jeden z ważniejszych ludzi w getcie, Millek Frenkiel z Bielska – komendant żydowskiej policji w Zelowie.

– Dawid! Sprawdź za szafkami i pod nimi.

Dawid przewrócił nocną szafkę. Od spodu przyczepiona była niewielka paczka.

– Coś znalazłem – rozwinął papier. – Są pieniądze – pokazał koledze sporą ilość banknotów.

Gospodarz rzucił się, aby odebrać swoją własność.

– Zostawcie chociaż połowę – krzyknął z płaczem. – Za co będziemy żyli?

– Przykro mi, ale musimy je zabrać.

Millek schował gotówkę do kieszeni i wyszedł. Na korytarzu rozejrzał się i wyjął pieniądze. Przeliczył.

– Połowa dla ciebie – powiedział do Dawida, podając mu banknoty.

– Nie chcę! Co robisz? Millek! Nie możemy tak…

– Co nie możemy? Bierz, bo jak nie, to jutro twoja rodzina pojedzie w pierwszym transporcie.

Dawid spojrzał na niego przerażony.

– Mógłbyś tak zrobić?

– Mógłbym, nie mógłbym? Jak będzie trzeba, to tak zrobię. Teraz każdy o siebie musi się martwić. Takie czasy. Albo ty, albo oni – wskazał ręką na drzwi mieszkania, z którego przed chwilą wyszli. – Za te pieniądze możesz kupić jedzenie, albo nawet życie.

Dawid ukrył pieniądze na swoim dawnym strychu. Przysiągł sobie, że ich nie ruszy, a przy pierwszej okazji, odda właścicielowi.

***

Z wiadomości, jakie docierały do osady od osób spoza Zelowa, Żydzi wiedzieli, co dzieje się w pobliskich miastach, miasteczkach i na wsiach. Słyszeli o aresztowaniach, wywózkach, prześladowaniach ich współwyznawców. Słyszeli o działającym już od ponad roku piotrkowskim getcie. Wiedzieli, co dzieje się w pobliskim Bełchatowie. Dostrzegali też zmiany na gorsze, jakie zachodziły w Zelowie. Wzorując się na utworzonej w Bełchatowie strefie przeznaczonej „tylko dla Żydów" Niemcy wprowadzili w Zelowie podobne rozwiązanie. Z początku granice tej strefy były umowne. Z czasem jej część została w kilku miejscach ogrodzona płotem i drutem kolczastym. Bramy nie były pilnowane, tylko oznaczone tablicami informacyjnymi: „Achtung Juden!". Wyjątek stanowiła brama prowadząca przez kamienicę Lewiego do jego dawnej fabryki. Tej dzień i noc pilnowali żandarmi.



Dwie kobiety przy płocie getta. Obok kobieta przy pompie i wejście do getta – teren wokół fabryki Lewiego.

Na początku 1941 roku ponad 6000 wyznawców religii mojżeszowej zamieszkiwało tereny: od kamienicy Liebermana przy Kilińskiego 9 do ulicy Wschodniej i dalej, aż do domu Guderskich przy Kilińskiego 3, czyli teren wokół fabryki Lewiego. A także teren ograniczony kamienicami od północnej i zachodniej strony Rynku oraz ulicami: Żeromskiego i Kościuszki – niemal do ulicy Szkolnej, czyli teren, na którym znajdowały się zgliszcza bóżnicy. Natłok ludzi na tak małych obszarach powodował wiele problemów. Największe mieli ci, którzy przybyli spoza Zelowa. Nie wiodło się im najlepiej. Chodzili w podartych ubraniach i w lichych butach. Futra i pieniądze Niemcy zabrali im już zimą. Byli wystraszeni, głodni i schorowani. Trudna sytuacja, zwłaszcza w okresie zimy i wiosny sprzyjała chorobom.

Brak odpowiedniego wyżywienia i niedostatecznej higieny spowodował epidemię tyfusu. Służby sanitarne pod nadzorem doktora Rotensztreicha wydzieliły dla zarażonych miejsca izolacji i wyznaczyły kilku sanitariuszy do opieki tylko nad tymi chorymi. Prezes Meyer ogłosił zbiórkę funduszy na szpital. Środki finansowe pochodzące ze szmuglu i przekazane przez bogatszych Żydów umożliwiły zakup dodatkowych leków i żywności. Dzięki tym staraniom udało się wkrótce wygasić zarzewie choroby, a szpitalne warunki uległy poprawie.

Widząc potrzebę pomocy chorym i niedołężnym, Dawid postanowił oddać wszystkie zebrane nielegalnie pieniądze na potrzeby szpitala. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Już wcześniej tłumaczył sobie, że to nie jego pieniądze i powinien natychmiast je oddać. Jednak nie robił tego. Myślał o tym, co powiedział mu Millek.

– A jeśli przyjdzie „czarna godzina"? Niemcy są pazerni na pieniądze.

W końcu zdecydował. Jednak, kiedy poszedł wyjąć pieniądze ze skrytki, okazało się, że jest pusta. W pierwszej chwili rozejrzał się wystraszony dookoła.

– Ktoś musiał mnie widzieć, kiedy je tu chowałem – wyszeptał.

Po chwili ulżyło mu. W końcu się ich pozbył. Już nie będzie o nich bezustannie myślał. Wyrzuty sumienia jednak powróciły. Nie oddał pieniędzy i nie pomógł, ani swojej rodzinie, ani innym ludziom. Czuł się, jak złodziej, którego okradli.

24 kwietnia 1941 roku, czwartek

Czasami mam ochotę rzucić to wszystko. Czuję, że staję się innym człowiekiem. Boję się tego. Nie chcę. Chce mi się krzyczeć. Wyć po prostu. Do czego zdolny jest człowiek, kiedy staje w sytuacji „bez wyjścia" lub, kiedy musi wybrać „mniejsze zło"? Staram się myśleć o tym jak najmniej. Żyję, jak w jakimś letargu. Po

prostu wykonuję polecenia i czekam, aż będzie lepiej, aż to wszystko się skończy, bo przecież, kiedyś musi. Wszystko ma swój początek i koniec. A może, jednak nie? Może nic nie ma początku i nic nie ma końca? Mam mętlik w głowie. Rodzina jest najważniejsza. To ja teraz muszę o nich zadbać.

Czytałem kiedyś o rewolucji we Francji. Ludzie głodowali, więc kradli i zabijali, ale czy to ich usprawiedliwia? Czy można wydać na śmierć drugiego człowieka za kawałek chleba?

Czy byłbym do tego zdolny dla ratowania Miriam?

***

Dostosowując się do trudnych, ciągle pogarszających się warunków, Żydzi próbowali prowadzić w miarę normalne życie. Wrodzona zdolność przetrwania i spryt połączony z pilnowaniem własnych, żydowskich interesów oraz wiara w Boga i zaszczepiona idea o Narodzie Wybranym dawały im tę siłę. Dlatego myśląc o zdobyciu środków do życia nie zaniedbywali też kultywowania własnych tradycji i zwyczajów. Z myślą o najmłodszym pokoleniu prowadzili nauczanie przedmiotów takich jak: matematyka i język polski, ale szczególny nacisk kładli na naukę religii. Zajmowała się tym Chana Sura Tajtelbaum, która już przed wojną prowadziła kursy religijne. Zakazane przez Niemców nauczanie groziło aresztem i wysłaniem do obozu koncentracyjnego, a w najlepszym razie pobiciem do nieprzytomności.

Komendant zelowskiej Schutzpolizei – Rapsch stanął w rozkroku na środku Rynku i nadzorował wykonywanie wydanych przez siebie rozkazów. Znając surowość swojego przełożonego, żandarmi dwoili się i troili, aby polecenia wykonać szybko i dobrze. Prześcigali się wymyślając różnego rodzaju nietypowe zajęcia i pseudo zabawy dla aresztantów, aby tylko podlizać się i zadowolić swojego zwierzchnika.



Żandarmeria „wiejska". Z lewej Oszkanade.

– Zachciało się wam nauki! – krzyczał żandarm Oszkanade, ciągnąc za ucho młodego żydowskiego chłopaka.

Wyprowadził go przed szereg, pozostałych dziewięciu kilkunastoletnich chłopców i przewrócił na kolana. Chłopak upadł tuż pod nogami Rapscha.

– Nie widzisz, że pan komendant ma brudne buty? – spytał.

Żyd nasunął szybko rękaw swojej kapoty na dłoń i zaczął je starannie polerować. Pozostali chłopcy stali w szeregu z opuszczonymi głowami, w poszarpanych, ubrudzonych zastygłą krwią, ubraniach. Już od kilku dni byli przetrzymywani w areszcie tylko o suchym chlebie i zatęchłej wodzie. Od kilku dni bici.

W pewnej chwili Rapsch kopnął chłopaka i odszedł na bok. Rozejrzał się dookoła.

– Za dużo tu wody. Ma być sucho na placu – zastanowił się – niech skaczą w kałużach, póki ich nie osuszą – wydał polecenie i odszedł, nie interesując się dalej tym, co się stanie.

– Słyszeliście pana komendanta? – powiedział żandarm Oszkanade do więźniów. – Zbiórka w tej kałuży – wskazał ręką na najbliższe zagłębienie z wodą. – Połowa tańczy i śpiewa, a druga połowa – padnij i czołgać się w tę i z powrotem. Jak skończycie tutaj, to przejdziecie do następnej.

Rozejrzał się po Rynku.

– Ma tu być sucho! – dodał.

***

Niemiecka machina wojenna nabierała rozpędu. Kolejne terytoria, ludność i dobytek padały ofiarą terroru i grabieży. Hitlerowcy potrzebowali coraz więcej wojskowego sprzętu, amunicji i materiałów do ich produkcji, bielizny i mundurów dla armii oraz żywności dla jej wykarmienia. Potrzebowali ludzi do pracy – taniej siły roboczej w zakładach przemysłowych, fabrykach zbrojeniowych, gospodarstwach i w polu. Setki tysięcy ludzi, głównie młodych, czasem dzieci, wywozili z zajętych terenów w głąb Rzeszy, jako robotników przymusowych.

Franek wstał wcześnie tego ranka. Ubrał się szybko i usiadł przed toaletką, wpatrując się w lustro.

– Co ty się dzisiaj tak sztafirujesz od rana? – Kasia spojrzała na brata, który czesał i przyklepywał odstające włosy poślinioną ręką.

– A co, nie wolno? – burknął pod nosem.

– No, dobra. Już się nie nie odzywam – udała pogniewaną.

– A ty, co dzisiaj taka obrażalska? W ogóle to od kilku dni chodzisz jakaś struta.

– Nie twoja sprawa.

– No, co ty siostra! Nie bedziemy sie kłócić. Ide do Mileny. Przekazać coś Zenkowi?

– Miałam się z nim spotkać już kilka dni temu, ale nigdy nie ma czasu – spuściła z tonu.

– Bo robi chłopak od rana do nocy.

– W niedzielę też? – niemal krzyknęła. – I to nie tylko tą ostatnią. Już ponad miesiąc się nie widzieliśmy. Nie ma dla mnie czasu, to nie – dodała rozżalona i wybiegła z płaczem z pokoju.

Franek widział się ze swoją dziewczyną tylko chwilę. Umówił się z nią na wieczorny spacer i natychmiast pobiegł do mieszkającego niedaleko Pejgów rzeźnika, Edwarda Zatorskiego. Wszedł do budynku gospodarczego obok jego domu w chwili gdy rewizor mięsa, Niemiec, oglądał zabitą świnię pod kątem jej przydatności do spożycia. Niemieckie prawo zezwalało na ubój domowy jednej sztuki trzody pod warunkiem zrzeczenia się kartek na mięso. Weterynarz rozłożył półtusze i starannie je badał. Nagle dojrzał dwa podobne kawałki mięsa.

– Rewelacja! Trzeba to gdzieś opisać – powiedział z uśmiechem. – Ta świnia miała dwa ogony.

Gospodarz spojrzał ze strachem na kontrolera, ale ten nie kontynuował tematu. Ostemplował mięso i dodał:

– Napijmy się po jednym. Trzeba zapić, żeby nie ożyła – ponownie się uśmiechnął. – Należy się 3 marki.

Zatorski nalał sznapsa, podał 5 marek i przygotowany wcześniej owinięty w papier kawał mięsa. Niemiec schował pieniądze do kieszeni, wziął zawiniątko pod pachę i jednym haustem wypił zawartość szklanki. Przegryzł skórką chleba i wyszedł.

– Ale miałem pietra – gospodarz spojrzał w stronę rzeźnika, który pomagał w uboju. – Kto wsadził tu ten drugi zadek? – spytał podenerwowany.

– Myślisz, że on nietutejszy, albo że to pierwszyzna dla niego? – mężczyzna wstał i zaczął przekładać mięso do dużej balii, która

stała pod stołem. – Wiadomo, że przy jednym ognisku dwie pieczenie się piecze. Jakby nie przymknął oka, to by z głodu umarł – zażartował, zerkając w kierunku Franka.

– A, co dla ciebie? Tak jak zawsze?

– Tak jak zawsze – odpowiedział chłopak.

– Masz bańke? Kiszczanki ci naleję – chłopak podał naczynie, zapłacił i już miał wychodzić, kiedy gospodarz przytrzymał go za ramię.

– Uważaj, Franek! Niemiec mówił, że mają „krew puszczać".

– Dziękuje. Powiem w domu, żeby sie nie kręcili po ulicach – odpowiedział na podaną żargonem wiadomość, że planowana jest łapanka.

Kiedy wracał do domu, na Rynek wjechały z trzech stron niemieckie samochody ciężarowe wypełnione żołnierzami. Obecni na placu mieszkańcy Zelowa, znaleźli się w pułapce. Uciekali w popłochu. Kryli się w bramach i sklepach. Franek nie namyślał się długo. Zaczął biec w kierunku domu, ale ulica Kilińskiego została już zablokowana. Pobiegł więc w przeciwnym kierunku. Przebiegając obok Arbeitsamtu, omal nie wpadł na wychodzących z budynku Fuchsa, żandarma Neumanna i Dalkego.

– Halt! Halt! – krzyknął Fuchs.

Franek, ani myślał się zatrzymać. Nie oglądał się nawet. Biegł co sił przed siebie. Słyszał tylko ciągłe głośne wołanie i kroki biegnących za nim osób. Kiedy dobiegł do kamienicy naprzeciw katolickiego kościoła, schował się za drewniane odrzwia otwartej do wewnątrz bramy. Przyciągnął je mocno do siebie, jakby chciał wcisnąć się w mur. W tej chwili usłyszał ścigających go ludzi.

– Szybciej, wbiegł tutaj – powiedział ktoś po polsku.

Kątem oka dostrzegł, jak trzech mężczyzn przebiegło obok niego i wbiegło na podwórko. W tym momencie zdecydował się nie czekać dłużej w niepewnej kryjówce. Wyskoczył i pobiegł dalej. Po chwili ponownie usłyszał niemieckie wezwanie do zatrzymania. Jednak tym razem padł strzał. Serce podeszło mu do

gardła, a w piersiach zaczynało brakować tchu. Czuł się jak zaszczute zwierzę, któremu instynkt podpowiada tylko jedno: „Uciekaj!". Odruchowo skręcił w ulicę Wolności. Kiedy dobiegał do Wschodniej, ponownie padły strzały – jeden, drugi i kolejny. Obejrzał się za siebie dopiero za ulicą Krótką. Nikt już za nim nie podążał. On też nie był ranny. Zwolnił, bo opadł już sił, ale biegł dalej... w kierunku lasu. „Tam odpocznę" – pomyślał. „A potem, do babci – u niej przeczekam".

Szylitowie

W 1941 roku okupanci nasilili politykę wysiedlania Żydów z Kraju Warty. Wyrzucali ich z domów. Umieszczali w zbiorowych punktach przesiedleń, a następnie segregowali na zdolnych do pracy, i na tych, którzy w ich mniemaniu byli niepotrzebni. Dzieci, osoby stare, chore i ułomne wywozili od razu. Silnych, młodych, zdrowych mężczyzn i kobiety kierowali do obozów pracy i do gett na terenie Generalnej Guberni.

W czerwcu w Zelowie rozpoczęły się kolejne łapanki i nachodzenie w nocy. Pod pretekstem działań sanitarnych, dezynfekcji oraz utrzymania higieny, Niemcy nakazywali Żydom opuszczanie zajmowanych przez nich domów. Wszyscy wypędzeni musieli pozostawić cały swój dobytek. Mogli zabrać ze sobą jedynie ręcznik i mydło. Miejscem, w którym hitlerowcy zgrupowali najwięcej mieszkańców wyznania mojżeszowego była dawna fabryka Lewiego.

– Puk, puk – rozległo się stukanie do drzwi.

– A, kogo tam?... O tej porze?....

Adam Wejman wyszedł do korytarza, aby otworzyć zamknięte już na noc, drzwi. Z dworu powiało ciepłym powietrzem.

– Icek Szylit! Skąd ty tutaj?

Przed drzwiami stał młody, przystojny mężczyzna.

– Panie Wejman, mogę wejść?
– No wejdź, ale zaraz godzina policyjna.
Stanęli w korytarzu i rozmawiali.
– Panie Wejman – zaczął błagalnie Żyd. – Ja do pana przyszedłem, bo pana znam. Dwa lata przecież pan mi wynajmował. – Panie Wejman... ja przyjechałem z Łodzi, bo wie pan, ja tam sklep mam. Właściwie to miałem, bo oni mi wszystko zabrali, a moją żonę podobno do Radomska, do getta wywieźli. Ja uciekłem. Przyjechałem do rodziców i do siostry, ale... panie Wejman oni podobno u Lewiego siedzą zamknięci, bo tam jakąś kwarantannę przechodzą. Panie Wejman, ja nie mam gdzie iść, bo dom zaplombowany. Zaraz godzina policyjna, a my przecież sąsiadami od lat jesteśmy i ... panie Wejman, ja pana proszę, żeby mnie pan przenocował, a jutro pójdę do rodziców.
Gospodarz spojrzał na Żyda, jakby ten spadł z księżyca.
– Ty głupi, Żydzie? Czy ty myślisz, że oni tam na wywczasach są? Czy może, że kąpać się poszli? Jak tam pójdziesz, to już po tobie. Ja ciebie dzisiaj przenocuję, jak będziesz chciał, to ci pomogę i przez granicę przeprowadzę. Papiery nowe dostaniesz. A jak nie, to uciekaj stąd jak najdalej.

Fabryka Lewiego stała się teraz także obozem przesiedleńczym, choć pracy przy naprawianiu i szyciu bielizny nie przerwano. W nieludzkich warunkach, prawie bez jedzenia i picia hitlerowcy przetrzymywali tam Żydów. Nie tylko zelowskich, ale także tych z okolicznych miast, miasteczek i wsi. Transporty z ludźmi przyjeżdżały raz lub dwa razy w tygodniu. Segregacja trwała nieustannie. W miejsce wywiezionych, dowozili następnych. Spośród aresztowanych została wyznaczona mała grupa kilkunastu mężczyzn do pilnowania porządku. Przy załadunku ludzi w czasie wywózek i wyznaczaniu ludzi do pracy wspierali ich żydowscy policjanci. Niektórzy więźniowie próbowali uciekać, złapanych esesmani bili do nieprzytomności. Jednak większość poddała się z nadzieją przetrwania dzięki ślepo wykonywanym rozkazom.

– Kobiety, które ostatnio pracowały w kościele – wystąp! – powiedział dyżurny podczas codziennego, porannego apelu.
Frandla Szylit, drobna dziewczyna o niebieskich oczach i jasnych włosach zrobiła krok do przodu. Dawid, którego jednym z zadań było pilnowanie grup przy pracy, podszedł do koleżanki znanej jeszcze z podwórkowych zabaw.
– Chcesz jeszcze tam iść? – kiwnęła głową na znak, że chce.
– Idziecie do pracy przy sortowaniu rzeczy w kościele – dodał dyżurny, zwracając się do pozostałych kobiet. – Przypominam, że ta, która będzie pracowała zbyt wolno lub nie wykona polecenia swojego przełożonego, poniesie karę.

Cały dobytek, po wygnanych z mieszkań Żydach, przewożony był między innymi do kościoła katolickiego i składany w miejsce ławek, których ogromny stos znajdował się teraz przed głównym ołtarzem. Sterty porozrzucanych w nieładzie ubrań, walizek i przyborów codziennego użytku Żydówki sortowały i pakowały w paczki i skrzynie.

Grupa kobiet wyszła na ulicę Kilińskiego, kiedy akurat podjechały ciężarówki. Żandarm prowadzący więźniarki, nakazał im zejść na bok i zaczekać. Stanęły przy murze wokół drewnianej, zdobionej w żelazne okucia, bramy wjazdowej przebiegającej przez środek budynku. Gestapo zablokowało ulicę. Otoczyli samochody ze wszystkich stron. Zrobiło się zamieszanie. Żydzi z „nowej dostawy" zeskakiwali z aut, lamentując głośno. Hitlerowcy pokrzykiwali i grozili bronią. Dzieci płakały, trzymając się matczynych spódnic. Dawid rozejrzał się wokół.
– Teraz, albo nigdy – pomyślał i nachylając się do ucha Fradli wyszeptał: – Idź powoli, jakby nic się nie stało. Wejdź do domu naprzeciwko i schowaj się pod schodami.